

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

BRYTAŃSKI ZWIĄZEK HANDLOWY.

Przed pięćdziesięciu laty (w r. 1846) Anglja w swej polityce ekonomicznej przechyliła się stanowczo do zasad wolnego handlu, znosząc cła zbożowe. Tym zasadom pozostała wierną do ostatniej chwili, chociaż wszystkie państwa europejskie hołdują obecnie protekcjonizmowi. Wyjątkowe warunki geograficzne, sprzyjające rozwojowi przemysłu i handlu angielskiego i zapewniające im przewagę na rynkach wszechświatowych, pozwalały Anglji nie lękać się współzawodnictwa innych krajów. Przez długi czas wolność handlu była dogmatem polityki ekonomicznej angielskiej, dogmatem niewzruszonym, bo słuszność jego uświęcało powodzenie.

W ostatnich latach jednak zmieniły się stosunki. Przemysł innych krajów, korzystający z ochrony i opieki, skutecznie zaczął współzawodniczyć z angielskim i wypierać go nie tylko z rynków obcych, ale nawet z kolonji brytańskich. Łączność polityczna między metropolią a kolonjami jest w wielkim związku państwowym brytańskim dosyć słabą. Anglja nie troszczyła się o jej wzmocnienie, porzeczając na łączności ekonomicznej. Z chwilą jednak, kiedy sprzeczność interesów politycznych Anglji z interesami innych wystąpiła wyraźnie w wielu punktach w Azji, Afryce i Ameryce, zrozumiano potrzebę ściślejszego związania luźnie tylko połączonych części państwa. Jednocześnie zwrócono uwagę na fakt stopniowego upadku łączności ekonomicznej.

W dziedzinie politycznej plan stworzenia wielkiego związku państwowego — *Imperial Federation* — coraz więcej zyskuje zwolenników,

nie tylko w Anglji, ale i w kolonjach, zwłaszcza w Australji i południowej Afryce. Uzupełnieniem jego jest ogłoszony przed paru miesiącami projekt związku ekonomicznego, właściwie handlowego wszystkich kolonji angielskich. Autorem tego projektu jest minister i przywódca unjonistów angielskich, Chamberlain, który i w polityce gorliwie popiera myśl federacji cesarskiej.

Zamiar wytworzenia brytańskiego związku celnego znalazł żywy oddźwięk w kolonjach. Zebrani w Ottawie przedstawiciele Kanady uchwalili, że należy dążyć do ustanowienia opłat celnych, któreby związkowi angielskiemu większe zapewniały korzyści, aniżeli innym krajom. W okólniku, rozesłanym do gubernatorów kolonji angielskich, otwarcie rozwija Chamberlain zasady nowej polityki handlowej. Anglja chce sama wyzyskiwać bogactwa przyrodzone swoich kolonji i zapewnić sobie przewagę wymiany z nimi wszelkich towarów, z zupełnem wyłączeniem handlu innych krajów, o ile to będzie możliwem. Wspólność interesów politycznych i ekonomicznych powinna istnieć wszędzie, gdzie powiewa sztandar angielski.

Wymiana handlowa kolonji angielskich z krajem macierzystym rozwija się stosunkowo powolniej, aniżeli ich handel z innymi krajami. Australja sprowadzała w r. 1881 towarów angielskich za 57 milionów f. szt., obcych za 7 milionów, w r. 1890 pierwszych za 60½ milionów; drugich za 14 milionów. Przed 20 laty towary angielskie stanowiły 55% przywozu Kanady, obecnie stanowią tylko 37%, natomiast dowóz ze Stanów Zjednoczonych z 30% podskoczył na 46%. Rozmaite są przyczyny tego faktu, ale nie ulega wątpliwości, że stanowisko handlowe Anglji nawet wobec jej własnych kolonji jest zachwianem. Musi więc

dolożyć wszelkich sił, żeby przewagę istniejącą utrzymać lub straconą—odzyskać i nie dać się pobić rosnącemu współzawodnictwu innych krajów. Zwłaszcza przemysł amerykański i niemiecki jest dla Anglii groźnym na rynkach kolonialnych, lub na tych rynkach obcych, jak np. Chiny, gdzie Anglja do niedawna miała faktycznie monopol handlowy.

Interesy polityczne i ekonomiczne Anglii są z różnych stron poważnie zagrożone. Pierwszych może do czasu bronić skutecznie, korzystając z antagonizmów między innymi państwami, ale upadkowi handlu angielskiego musi zaradzić bez zwłoki, chociażby ze względu na stosunki wewnętrzne. Społeczeństwo angielskie wyspecjalizowało się do działalności przemysłowej i handlowej i wszelkie ograniczenie lub zatamowanie tej działalności musiałoby wywołać katastrofę. Zresztą związek ekonomiczny stworzy właśnie podstawę dla ścisłego związku politycznego.

Wszystkie posiadłości angielskie przystępują, według projektu Chamberlaina, do związku handlowego. Pojedyncze kraje, należące do związku, będą wymieniały między sobą towary na zasadzie wolnego handlu. Natomiast wobec krajów obcych ma być przyjęty system polityki ochronnej z wysokimi cłami. Nie tylko kolonie, ale i Anglja właściwa wstąpiłaby na drogę skrajnego protekcjonizmu.

Naturalnie wywołałoby to odwet ze strony innych państw i Anglja straciłaby przynajmniej w Europie i kolonjach państw europejskich te rynki, które dotychczas posiada. Prawdopodobnie jednak nie stosowanoby ściśle tej polityki do krajów, gdzie przemysł angielski ma dziś dobre rynki zbytu, lub z których bierze materiały surowe, koniecznie mu potrzebne. Gdyby jednak świat cały odgradził się cłami odwetowymi od Anglii, handel i przemysł brytański znalazłby dostateczne pole w swoich posiadłościach kolonialnych, które zajmują obszar, dorównujący obszarowi całej Afryki.

Wszystkie części świata, po odrzuceniu krajów podbiegunowych, zajmują 130 milionów kilometrów kwadratowych; z tego na posiadłości brytańskie przypada w okrągłych cyfrach:

w Europie	315.000	kil. kw.
w Azji	5.324.000	„ „
w Afryce	5.965.000	„ „
w Ameryce	8.710.000	„ „
w Australji	8.240.000	„ „

Nie liczymy tu posiadłości podbiegunowych, nie mających prawie żadnego znaczenia handlowego. Dodaćby jednak należało do obszaru posiadłości brytańskich kraje, które znajdują się pod przemożnym wpływem Anglii, jak państwa himalajskie, Egipt, rzeczpospolite południowo-afrykańskie itd.

Jest to część świata, raczej świat cały odrębny, posiadający ogromną różnorodność warunków naturalnych i około 380 milionów ludności. Niedawno dzienniki doniosły, że rząd rzeczypospolitej Oranje zwrócił się do rządów transwaalskiego i kolonji brytańskich w Afryce z projektem zawarcia związku celnego. Projekt ten ma jakoby na celu przeciwdziałanie planom Chamberlaina. Gdyby nawet tak było, Anglja jest dosyć silną, żeby państewkom południowo-afrykańskim narzucić swoją wolę, a w każdym razie nie dopuścić, żeby jej własne kolonie przeciw interesom metropolji działały.

Urzeczywistnienie planu unjonistów angielskich wywołałoby przewrót gwałtowny w handlu międzynarodowym i wielkie zaburzenie w stosunkach ekonomicznych całej Europy. Nastąpiłaby między Anglją i jej sojusznikami a Europą i wogóle resztą świata walka ekonomiczna na życie i śmierć, która doprowadziłaby musiała do walki zbrojnej. Współzawodnictwo Anglja niewątpliwie wytrzymałoby mogła, ale do walki zbrojnej z Europą sił nie ma. Wprawdzie i dzisiaj w polityce Anglja przeciwstawia nieraz interesy swoje interesom wszystkich państw i prowadzi politykę zupełnie samodzielna, z kombinacjami polityki europejskiej wiążącą się tylko czasowo i luźnie. Ale obecnie może korzystać z istniejących antagonizmów, umiejętnie pobudzając je i wyzyskując dla swych celów, w chwili zaś, gdyby sferę swoich interesów przeciwstawiła interesom całej Europy, nawet całego świata.

Inaczej przedstawiają się wszelkie sprawy polityczne i ekonomiczne w projektach, a inaczej w praktyce. Jeżeli związek handlowy brytański stanie się faktem, z pewnością Anglja odstąpi od stosowania względem wielu państw zasad, w projekcie wyrażonych. Są państwa, które w kolonjach angielskich współzawodniczyć z nią nie mogą i których współzawodnictwa na innych rynkach nie obawia się wcale; są inne, które nabywają sporo wytworów angielskich. Takim krajom bez szkody dla siebie zapewnić może wyjątkowe ustę-
p-

stwa, tembardziej, że nie chce ograniczać swoich rynków zbytu do obszaru swoich posiadłości. Właściwie dwóm państwom projekt brytańskiego związku handlowego bezpośrednio grozi—Stanom Zjednoczonym i Niemcom. Dla Niemiec zwłaszcza byłby to cios straszny. Dziś już współzawodnictwo handlowe między niemi a Anglią wpływa pośrednio na kształtowanie się kombinacji politycznych, walka zaś ekonomiczna między temi państwami spowodowałaby radykalne i dziś nawet nieprzewidywane zmiany w polityce międzynarodowej.

N. A. J.

ANTONI LANGE.

I.

Metamorfozy... Ten oto wyraz, streszczający w sobie pierwsze wrażenie, powraca mi w pamięci nieustannie, ilekroć biorę do ręki poezję Langego. Chciałbym wypisać go na pierwszej karcie tomu, jako tytuł, tylko przez roztargnienie autora opuszczony. Poezje Langego są swego rodzaju rewją gatunków mowy wiązanej, galerją kształtów poetyckich, są „panteonem stylów”, o którym opowiada raz poeta, że:

*Cyklopy zda się kładły fundamenta,
A kolumnadę stawiał Grek; zaś Goty
W renesans wplotły swoje ornaamenta
Na barwnych ścianach bizanckiej roboty
Z wież maurytańskich sznurem....*

Jeżeli nie uważam tego porównania za doskonałą charakterystykę poezji Langego, to dlate-

go jedynie, iż przemiany, którym tu ciągle podlega nastrój i wiersz, mają w sobie jakąś błyskotliwość, lotność, rzutkość, której nie oddaje przenośnia architektoniczna. Czytam z kolei kunsztowne sonety, proste prostotą świadomą siebie sielanki, rzewne *rifiorita*, *stronelle*, *ronda* ozdobne, *willanelle*, technące wiosenną świeżością i — mimo mistrzostwa ich formy — nie zatrzymuję się, nie szukam w nich najwłaściwszego poecie rodzaju, lecz idę dalej, ciągle dalej. Czuję, że istotę tego talentu stanowi nie taki lub inny kształt doskonały, lecz ciągła przemiana kształtów.

Dwie tendencje przeciwstawiają się sobie wiecznie w poezji. Jedną streszcza i wyraża doskonale każdy najdrobniejszy ustęp z *Pana Tadeusza*. Wiersz tu jest defiladą posagowych kształtów, obrazów skończonych, faktów dokonanych. Drugą tendencję odnaleźć można w każdej strofie *Beniowskiego* lub *Króla Ducha*. Wiersz tu jest jak obłok zmienny, jak fala improwizatora. I nad kształtem, obrazem, faktem ma tu przewagę nastrój, przemiana, ruch. Krasinśki mówił o pierwszym rodzaju, że jest potęgą *wcielań*, o drugim — że jest potęgą *rozwichrzań*.

Kiedy słowo tryska rozrzucone, pełne obietnic, wichrowate, równie łatwo przyjmując każdą formę, ażeby się z niej uwolnić w nowej przemianie, mamy do czynienia z tą drugą tendencją poezji. Wówczas poeta dochodzi niekiedy aż do zrzucenia „supremacji myśli nad słowem,” zdumiewa nas, jeśli jest bezdarnym, bezładem nagromadzonych wyrazów, lub porywa nas za sobą, jeśli jest talentem, w wir rozwichrzającego się, rozrzuconego, pełnego natchnień nieskrystalizowanych krasomówstwa.

Metamorfozy Langego, którym towarzyszy wielkie panowanie autora nad formą, są obja-

DRAMATY LUBĄDZKIE.

(Ciąg dalszy).

Ciszę w izbie przerywał odgłos spluwać Miosza, ciągle perkotanie warzy w garnkach, czasem iskra wystrzeliła z ogniska na środek izby, wilgotne drzewo zapiszczało w płomieniach, albo się rozległ przeciągły syk, kiedy z garnka wykijało co na rozżarzone węgle. Ale mieszkańcy izby słyszeli tylko własnych dusz głosy: baba słyszała teraz wyrzuty sumienia za sponiewieranie swego małżonka, który ją kocha; chłop zaś — rzecz dziwna — w miarę tego, jak żona łagodniała, słyszał w duszy coś, jak gdyby wrzenie gniewu i oburzenia. W stosunkach małżeńskich, gdy jedno abdykuje z despotyzmu, drugie chwytą to berło.

Gospodyni mlekiem podprawiła zacierkę, większą jej część wylała z garnka na dużą

miskę i postawiła to przed mężem na stole, gdzie niebawem pojawiła się i druga miska pełna kartofli, słoniną suto okraszonych. Majcher zajaadał jednocześnie obie te potrawy, zalewając zacierką każdą łyżkę kartofli. Jagusia uklękła przy stojącej koło pieca ławie i wieczerała z pomniejszej miski; matka zaś usiadła na tejże ławie z garnkiem w lewej, z łyżką w prawej ręce i spożywała pozostałe resztki zacierki. Biała kocica, z ogonem do góry wzniesionym, ocierała się poufale o spódnicę gospodyni, miauczeniem przypominała swą obecność, a niekiedy wskakiwała z niecierpliwości na ławę, zaglądała w miskę dziewczyny: ciągle bowiem chlupanie wieczerających ludzi sprawiało jej ogromną oskome.

— Matusiu, dajcie mi teraz kartofli ze skwarkami! — odezwała się dziewczyna, szeroko obлизując wargi po ostatniej łyżce zacierki.

— A i nie możesz to ty wziąć sobie sama — dziewczucha tyła! — rzekła Nastka i, zadowolona, że nareszcie może przerwać uparte

wem tej właśnie drugiej tendencji — przewagi *słowa*. Przerzucać się z taką giętkością od formy do formy znaczy więcej, niż być naśladowcą, nawet biegłym. To znaczy pływać w żywiole *słowa*, jak w żywiole rodzimym.

II.

Spróbujmy teraz głębiej wniknąć w duszę Langego. Można by się na wstępie rozwodzić nad wpływem obcych wzorów poetyckich na jego talent i kierunek. Ale ostatecznie dziś każdy jest mniej lub więcej pielgrzymem, zwiedzającym te miejsca cudowne „najnowszych prądów”; Lange, tłumacz Baudelaire’a, Poe’go, Shelley’a, zna je i zna dobrze. Nie będę więc dalej badał, jakie prochy strząsa pielgrzym z obuwia swego. Obszernej skali form poetyckich w poezji jego odpowiada niemniej obszerna skala nastrojów.

Mamy np. wiersz Langego p. t. *Pogrzeb Schelley’a*, z którego całe ustępy żywcem mógłbyś przenieść do Słowackiego. Mamy szeregi jego erotyk, wcale zasobny zbiorek doświadczeń stanowiących. Mamy próby poematów na większą skalę, cykle sonetów filozoficznych, sielanki wreszcie, dążące do szczerzej prostoty. Pozornie, zewnętrznie biorąc, jest to wielka różnorodność, rozbieżność niejako. Ta to właśnie zewnętrzna różnorodność tematów pozwoli nam wyciągnąć niebawem wniosek o wielkiej jedności tonu tych poezji. Zaczniemy od rzeczy nieudanych.

Za najmniej udane uważałbym *sielanki* (przy których napis: *Plein-air*). Rzecz ciekawa, jak ten poeta, pełen wytwornego mistrzostwa słowa, niedołącznie opisuje:

Jesion jasno malowany,
Jarzębiny — i kaliny,
I akacje — i kasztany,
I gdzie niegdzie też choiny.

milczenie, tak mówiła dalej: — wiesz ty, jutro Najświętszej Panny Szkaplerznej, skończy się rychtyk rok trzynasty, jakeś na świat przyszła... W tydzień potem ponieśli cię do chrztu i jegomość chciał ci dać imię Magda, Hanka, albo Małgosia, jeno tatuś i matka chrzestna wyprosilili Jagusię...

Słowa te, jakby naumyślnie wypowiedziane, przeniosły Młosza w czasy, kiedy się po raz trzeci żenił. Przypomniawszy sobie naprzód, że to było jakoś na jesieni: ludzie kopali w polach kartofle. Różne okoliczności stanęły mu teraz przed oczyma: Nastka miała jeszcze dwóch innych zalotników, żwawych, młodych parobków, a poszła za niego, starego wdowca... „O czym szeptali w stodole ci Dubikowie?” — pomyślał i zaczął w milczeniu liczyć miesiące od czasu swego ślubu do przyjścia na świat Jagusi. Atoli chłop tyle razy się już w życiu żenił, tyle chrzcin wyprawiał, że sprawy te coś bezładnie ciążyły na jego starej pamięci. Właśnie i teraz pomieszał swój ostatni ożenek

To „też” przypomina wierszyki na malowanych dziecinnych. Albo to np.:

Melancholija gęstych łąków
Karmi tylko gąski białe,
Stada owiec i baranów
Gryzą słomki pozostałe.

Te „gąski” i „słomki” są rozpaczliwe. Oczywiście chodziło tu o prostotę, tymczasem zamiast prostoty mamy, że tak powiem, froeblovskie uproszczenie przyrody. Albo jeszcze ten opis:

I powietrzną toń przebijają
Namiętnością, ogniem, szaleńcem
Niespokojna melodyja,
Niewidzialnem wstrząsa ciałem
Naprzód dziwna ta ballada
Drga oderwanemi tony —
Później tryska jak kaskada
W dźwięk stłumiony — nieskończony?
I rozpiera, i rozdziera,
I upaja, i przestrasza —
I tęsknoty nam otwiera,
I do marzeń nas zaprasza,
I zdumiewa — i kołysze!

„To słowik!” — woła domyślny czytelnik. „Nie, to świerszcz” — odpowiadam skromnie. Prawda, że dobór wyrazów ładny jest i przekonujący, ale — słowik czy świerszcz? Otóż ten opis, gdzie świerszcza wziąć można za słowika, jest niejako kluczem do nieporozumienia: Lange nie opisuje nam właściwie ani słowika, ani świerszcza, ale swoje *przefiltrowane przez dar retoryczny* wrażenie — wyobrażenie nawet, refleksję swojego uczucia, proces wewnętrzny, a nie świat zewnętrzny. I wszędzie tam, gdzie chodzi o bezpośredniość wrażenia, o kształt zewnętrzny, poeta będzie łatwo popełniał takie błędy. Bo siłą jego nie jest *odtworzenie* wrażeń, ale ich *przetwarzanie*. W tych samych wierszach *Na roli* czytamy np. taki oto wizerunek oracza:

z przyjściem na świat najmłodszego syna Szymka; powodem takiej pomyłki mogło być i to, że w obu razach prosił w kumy Dubikową, matkę tych samych Dubików, którzy się w stodole z niego naigrawali. Policzył miesiące i wypadło, że Jagusia urodziła się w siedm miesięcy po ślubie. — „Ee, psiakość, cóż znowu?.. Jabym takiej rzeczy do tego czasu nie wiedział!” — liczył powtórnie, równie mylnie, i znowu w rezultacie siedm miesięcy.

Majcher Młosz ze wszystkich swoich żon najbardziej miłował trzecią, a Jagusia była dzieckiem najbliższem jego serca; ale stary chłop bardziej jeszcze kochał siebie.

— Jaguś — odezwała się Młoszowa — uklękaj przed obrazem Najświętszej Pani, który wisi nad tatusiowem łóżkiem, i zmów pacierz do Przemienienia Pańskiego!

Nastka знаła męża i wybierała środki najpewniejsze, aby ugodzić w jego słabe strony. Gdy jednakże Jagusia ze złożonemi rękoma uklękła przed łóżkiem, na którym góra pierzyn

Włos ma płowy — szare oko —
 Twarz od słońca ogorzała —
 Barki silne — pierś szeroką
 I koszulę nosi białą.
 W koszulisku swoim lnianem,
 W białych lnianych spodniach — bosi —
 W kapeluszu swym słomianym
 Swoje ciche spełnia losy.

Ten ustęp zresztą może nie zadowoliliby
 malarskiego oka, ale oto dalej:

Dziwna postać ta oracza!
 Idę — płyną pokolenia,
 Jego nic nie przeinacza,
 Jego ducha nic nie zmienia
 I tak kroczy wśród gorąca,
 Jak na wyżni gdzieś Irańskiej,
 Jakiś duch z przed lat tysiąca,
 Jakiś wid starosławiański.

Wizerunek, dość banalny na początku, zmienia się w ostatnich dwóch strofach w *symbol*, w *wizję* i wtedy staje się prawdziwie potężnym. Z natury talentu swego należy Lange nie do ostrowidzów świata zewnętrznego, lecz do wizjonerów świata wewnętrznego. Stąd blahym jest często w opisach, a zawsze silnym i zajmującym w symbolach, w wizji, w obrazie syntetycznym.

Zrozumiemy to lepiej, przechodząc od sielanki do erotyków. Każdy wiersz poety jest tu problematem filozoficznym, od problemu się zaczyna i ciągnie się jako barwny, retorycznie piękny różaniec refleksji. Nie będę notował ni „złotych listków” jego myśli, ni „pereł uczucia” jego, ale nadmienię nawiasowo, że ich tu nie brak w najszcześliwszej formie świetnych aforyzmów. Pomijam również dziwnie piękne kwiaty egzotyczne, które autor przekłada gdzieś niegdzie swe poezje, jak owe rifiorita. Ale oto wiersz „Nie, jam nie kochał wcale...”

prawie zupełnie zastąpiła wiszące na ścianie obrazy świętych, wtedy właśnie Majcher skojarzył w myśli związek między szeptami i śmiechem Dubików a okolicznością, że najmłodsza córka przyszła na świat w siedm miesięcy po ślubie. To się wprawdzie zdarza, ale... Chociaż ta myśl była przykra, sprawiała chłopu zadowolenie, jakie uczuwa każdy odkrywca, który rzecz nową znalazł.

Traf zrządzik, że Młosz poczuł teraz swędzenie na głowie w tem samem miejscu, gdzie go baba niedawno za łeb wydarła i uprzytomnił sobie całe zajście. Wszystko to razem wzięte wzburzyło go nadzwyczajnie. Porwał się z ławy, poskoczył do komina, wziął węgielek, który wcisnął w fajkę, przyklepał paznogciem, potem się zwrócił ku babie i rzekł dobitnie:

— Oj ty... ty... ty udawaczko ładaco!..
 Znam ja cię!

I wyszedł z izby, a drzwiami tak potężnie trzasnął, aż się chałupa zatrzęsała.

... Dzisiaj nasze serce

Tak mózgiem przesiąknięto, że już być nie umie
 Sercem. Samo się mózgiem stało. Nie rozumie
 Szalu. Byliśmy niegdyś rozumni swym szalem,
 Dziś jesteśmy rozumem szaleni. Kochałem
 Mózgiem. Ale ja nie chcę, by mój mózg był w szale!
 Nie, ja nie umiem kochać, jam nie kochał wcale!..

Jaki wspaniały krzyk, jakie słowo pełne znaczenia dobywa się w tym wierszu z bogatej retoryki! Może raz na cały ciąg tych poezji uderza nas takie szczere, bezpośrednie wyznanie i oto wyznaniem tem jest właśnie skarga na utraconą bezpośredniość uczuć, na przewagę mózgu nad życiem.

Czytelnicy „Głosu” zapamiętali prawdopodobnie wiersz Langego, drukowany w Nr. 39 z r. 1889 p. t. *Vox posthuma*. Jest to fantazja żalobna na temat samobójstwa. Tam spowiada się dusza chora na nadmiar świadomości, którą powaliła samoanaliza:

Jady samobieczowań, co w duszę się wżary
 Szamotanie bezpłodne woli pół-zamarłej,
 Ironja gór olbrzymich wydających karły,
 Maligny chorobliwa niemoc — rumowisko
 Przepalonego ducha...

Wraz z okrzykiem „Nie, jam nie kochał wcale!” wiersz *Vox posthuma* stanowi dla nas rodzaj samookreślenia się autora. Wierzmy temu tem chętniej, że dokoła siebie, w sobie czujemy na każdym kroku wybuchanie intelektualizmu. Że nasze serce jest „mózgiem przesiąknięte,” że refleksja rozkłada lub zatrzuwa, a w każdym razie towarzyszy naszym wrażeniom, że traciliśmy bezpośredniość, żywiołowość życia, przynajmniej życia zmysłowego, na to się wszyscy zgadzamy. Otóż w wierszach swoich jest Lange doskonałym typem takiego człowieka-intelektualisty, mózgowca. Jeżeli jednak dwa powyżej przytoczone wiersze stanowią może najjaskraw-

Obejrzała się Jagusia, trzepiąca pacierz, i rzekła:

— Matulu, to ja nie będę kończyła pacierza, kieś Pan Jezus nie chce przemienić tatu-siowil..

Młoszowa nie dała córce odpowiedzi, tylko z jej zaognionej twarzy, z ruchów, z rzucania naczyń i sprzętów znać było złość obrażonej dumy niewieściej. W roztargnieniu, czy zacie-trzewieniu urwała naprzód ucho u garnka, potem przydeptała kocicę, wypaliła sobie dziurę w fartuchu, przewróciła szaflik z pomyjami. Korcił ją ten chłop taki dziś dla niej nie-czuły. Wybiegła przed chatę, niespokojnem okiem powiodła po idącej wzdłuż wsi drodze i w oddaleniu spostrzegła przygarbioną postać, zmierzającą w kierunku karczmy, widziała nawet obłoczki dymu z fajki. Łatwo było zda-łeka poznawać Majchra po owem przygarbie-niu i po kapeluszu, nasadzonym na tył głowy, gdyż z powodu wielkiej guli na czole chłop nie mógł go nosić inaczej.

szą demonstrację tego stanu rzeczy, to nie znaczy to bynajmniej, żeby poezje Langego charakteryzował rozdzźwięk w nich zawarty.

Przeciwnie, Lange jest właśnie rzadkim dość dzisiaj okazem intelektualisty względnie zharmonizowanego w sobie, w swojej twórczości poetyckiej przynajmniej. Zajmuje nas w tej chwili nie filozofja życiowa poety, lecz stosunek jego organizacji duchowej do własnego dzieła. Idźmy dalej i rozpatrzmy się w drugiej połowie tomu „Poezji“, w której utwory przybierają coraz wyraźniej kształt traktatów filozoficznych.

Oto naprzód w siedmiu sonetach Wedyckich— a każdy sonet jest tu jak kamea w słowie rzeźbiona—daje autor rdzeń filozofji, zawartej w „indyjskich mędrco w świętym rytuale“. Następują dalej Księgi proroków, przepyszne kantaty rozśpiewanego nad zagadkami bytu ducha. Przez Jedność, Wielość, Walkę, Miłość i Konieczność wiedzie nas autor do Wyzwolenia, czyli księgi Buddy. Cytować tych rzeczy urywkami nie można—tak dalece każda z nich jest zwartą w nastrój, styl, filozofji całością.

Sonet Wedyckie i Księgi proroków stanowią jakby strzeszczenie historyczne i ewolucyjne wysiłków myśli ludzkiej, dążącej do poznania niepoznawalnego. Są one zarazem jakby wstępem autora do swej własnej filozofji, która się wyraźnie zarysowuje w przepięknej *Pieśni o Słowie*.

W pieśni tej tak wybitnie, tak jednolicie wyraziła się indywidualność artystyczna poety, że uważać ją można za prawdziwy „dokument“ dotychczasowej przynajmniej jego pracy.

Duch i natura są to wieczne osie,
Na których pieśni obraca się słowo,
Myśl czujnie krąży w tym mętym chaosie,

— Co jego dziś podleciało?.. Wściekł się chyba stary dziad! — mówiła do siebie po ciachu, a nie widziała, że Jagusia obok stoi i uważnie się jej przygląda.

Gwarno i wesoło było w lubądzkiej karczynie. Na ławach i na stołach siedzieli wokoło chłopci z fajkami w zębach, z twarzami uśmiechniętymi, rozbawionymi. Na środku izby karczemnej stał blady, dziobaty, nędznie przyodziany, nikły człowieczek, będący właśnie przedmiotem wesołości zebranych chłopów.

— Pieczonka, pokażno teraz, jak się Chaimek dziedzicowi przylizuje! — zawołał któryś z widzów.

Komedjant przybrał natychmiast komiczną postawę, przymilający uśmiech twarzy, jedną rękę położył na piersiach, drugą zdejmował czapkę i cały w podrygach, ukłonach przechodził po izbie, a zgromadzenie wybuchało rozgłośnym śmiechem. Następnie Pieczonka przedstawiał, w jaki sposób Chaimek żegna się z dziedzicem i po szczęśliwym załatwieniu

Aż oto jutrznię ujrzy purpurową.
Wówczas nad dzikie potopy poswarki
Myśl ulatuje z chaosu w wyżyny,
I — niby biała gołębia z arki—
Wraca i dobro przynosi nowiny.

Ten początek pozwala nam przeczuć, że słowo, o którym śpiewać ma poeta, jest to owe Słowo w znaczeniu greckim: słowo - prawo, słowo - zrozumienie, a zarazem biblijne słowo proroków: dobra nowina, mir i harmonja wszechbytu.

Bywają nieraz straszliwie potopy
Co trwają dłużej, niżli dni czterdzieści —

Wówczas w zamęcie powszechnym upada myśl, „biała gołębia“, próżno bijąc skrzydłami o ciemność: Słowo, dobra nowina, zrozumienie nie przychodzi.

Bo jak rozwiązać te węzły subtelne,
Gdzie patrzącego wzrok zlewa się z widzianym
Światem?...

i dalej:

Tak duch patrzący na zewnętrzne świata,
Sam jest tym światem, w którym jest zamknięty;
Tak duch, co wiecznie wokół osi lata,
Sam jest tą osią! -- Oto krąg zakreśli! —

I nagle zwrótem lirycznym poeta staje ponad nierozwiązalnym: rzekłbyś, że zadźwięczały znane słowa „bo ty nie myśl, że z anioły tylko boża myśl przychodzi!...”

Bo nie myśl, że to słowo jest gdzieś w dali
W uczonych księgach albo w słońcu ogromie;
Ono się nieraz w prostym krzaku pali,
W prostaczce piersi żyje nieświadomie.
I nieraz dziecko wieśniaczego proga,
Wędrowny kramarz, albo dziad żebrzący
Takie ci słowo powie pełne Boga,
Że stajesz przed nim zdumiony i drżący...

Dalej pieśń staje się kaskadą wspaniałych zwrotów i omówień, dążących do odtworzenia

interesu wraca do karczmy, siada za szynkwalem. Zręczne podchwycenie, szczęśliwe skarykaturowanie ruchów arendarza cechowało te karczemne przedstawienia.

Ów Pieczonka umiał przedrzeźniać ruchy dziedzica, pijanego organisty, starego szewca w okularach, Pierzchaliny, zażegnawczki chorób bydłych, Wojtka Papary, parobka z Fałliboża i innych. Ale dzisiaj miał on dla swoich widzów zupełnie nową sztukę, którą zatytułował: „jak baba chłopu myje głowę.“ Gdy się zgarbił, nasadził czapkę na tył głowy, włożył fajkę w zęby i zaczął chodzić po izbie, zebrani chłopcy wykrzyknęli jednogłośnie: — „No, nie zbierznik jakiś, bestyjniki jeden! Jak on to chłopca uda!.. Dyć to takusieńki, takutenieczki Majcher!“

Teraz Pieczonka chwycił się obiema rękoma za włosy, własną głowę szarpał to wtył, to naprzód, a przytem udając głos kobiecy, wykrzykiwał: — „Stary trupie, wywłoko, zmarnowałam młodość przy tobie, a teraz mi dziecko będziesz zabijał!...”

całej potęgi słowa. Nieprzeliczone są postacie słowa i nieprzebrana jest obfitość swobodnie płynących porównań autora. Tu, sam jakby upojony tą bajeczną łatwością zażywania mowy, daje się autor niemal ponosić wyrazom... Zresztą o tej swobodzie, o tej łatwości rymu, przenośni, zwrotu retorycznego, najlepiej czytelnika przekona wiersz Ant. Langego, ostatnio drukowany w „Kurjerze“, wiersz, który zwrócił na poetę niewątpliwie uwagę szerokiej publiczności. Ale oto ostatni ustęp z *Pieśni o Słowie*, który muszę przytoczyć w całości.

O słowo, które jesteś we wszechbycie,
W pozorach zjawisk rozlane dla oka
Świeć się twe imię! Opromień nam życie
I daj nam wieku naszego proroka!
Przyjdź twojej prawdy najwyższe królestwo,
Wszechobjawiona stań się twoja wola.
Pokój na każde ludzkie zło jestestwo,
Niechaj każdemu błynie dobra dola.
Daj nam poznanie wszystkich praw natury,
Byśmy codziennym nakarmieni chlebem
Nie znali walki o jadło ponurej
I wciąż za twojem mogli dążyć niebem.
A tak wciąż wyżsi potęgą duchową—
Ucieleśniali twoje królowanie.
Raj odzyskany, w którym jedno słowo
Panuje—Miłość. Tak niechaj się stanie!

Ta świetna parafraza modlitwy o chleb powszedni pozwala, że tak powiem, ręką dotknąć głównej, ton nadającej struny poety. Nie jest że to wielki dar móc spleść w taką artystyczną całość własne natchnienie w rytmem prastarej modlitwy ludzkości? Myśl, która „wieki jednoczy w ewolucyjną człowieczeństwa skalę“, musi w swych akordach posługiwać się niejednym tonem użytym już. Talent, gibki aż do korzystania z parafrazy, a jednocześnie śmiały w zapamiętaniu nad nią, pewny w jej wyborze — nie jest to talent naśladowczy, lecz syntetyczny.

Podczas tej sceny niektórzy chłopci tręcali się łokciami i nogami, inni—powinowaci Młoszów—okazywali niezadowolenie i zaczęli pomrukiwać. Wtem wszedł Majcher, przelotnie spojrzawszy po zgromadzonych, zatrzymał dłużej wzrok na Pieczonke, którego to stropiło. Młosz się także nieco zmieszał, widząc zrozumiał treść przedstawienia; ale i tak nie zapomniał języka w gębie i rzekł, uchylając kapelusza:

— Niech będzie pochwalony!

Wszyscy bez wyjątku, nawet Pieczonka, sięgnęli do swych kapeluszy, magierek i chórem odpowiedzieli:

— Na wieki wieków! Witajcie, Majchrze!

Co tchu też jeden za drugim opuszczali ławy, stoły, garnęli się do starego, wszczyńniali z nim gawędę. Tymczasem Matus Pokora, kowal ożeniony z Młoszówną, zbliża się do Pieczonki, prowadzi go w kąt i tak mówi:

— Słuchajno, ty urwipolciu, dzisiaj ci żart uszedł na sucho; ale mi drugi raz nie śmieję przedrzeźniać Majchra! — i z temi słowy poło-

III.

Świat w poezji Langego przedstawia się nam zatem nie jako mniej lub więcej urozmaicona panorama wrażeń zewnętrznych, lecz jako cykl przemian duchowych, nie jako widzenie, lecz jako wizja. Lange ma wyróżniający organizację filozoficzne dar widzenia zjawisk w ich związku i zależności wzajemnej. Są to, że tak powiem, kategorie poznawania, nie zaś same zjawiska. Oto taka np. *Venus łobozeczka* nie jest że raczej kategorią, syntezą usymbolizowaną zhańbionej miłości? Albo w urywku *Lilith* ta defilada typów kobiecych? Autor ciągle wiąże zjawiska w ich treści wewnętrznej, wiąże je dialektycznie, szukając syntezy. Jestże więc Lange filozofem, przypadkowo tylko bawiącym w dziedzinie poezji? Pytanie to nie jest tak śmieszne, jakby się zdawało. Ludzie zdołali już oswoić się z tem, że poeta jest *malowniczy* lub *melo-dyjny* i nie każą mu być z tego powodu malarzem lub muzykiem. Ale dotąd mimo odwiecznych doświadczeń gotowi są wszcząć spór o ideę w poezji.

Po prostu organizacje intelektualistyczne, typy „mózgowców“ rzadsze są, niż organizacje wrazeniowe, niż typy „zmysłowców“. Nawet ludzie, którym się zdaje, że lubią poezję samą, często bardzo w poezji raz jeszcze lubią przyrodę, świat zewnętrzny: lubią i szukają w niej odtworzenia bezpośrednich wrażeń—barw, dźwięków, zapachów, obrazów. Tymczasem świat duchowy ma odrębną swoją estetykę, bardziej dostępną dla pewnych — mianowicie intelektualistycznych organizacji. Jak człowiek o subtelnych zmysłach czułym jest na wszelki odcień, wszelki półton świata zewnętrznego, tak podobnie owa organizacja intelektualistyczna specjal-

zył mu na ramieniu swoją ogromną łapę.

Dotknięcie musiało być bolesne, bo Pieczonka syknął bólu, zwinął się w kablak pod prawicą kowala i już potem w milczeniu siedział sobie na boku.

Stary Młosz nadzwyczajną ochotę okazywał dzisiaj, każdemu stawiał gorzałkę, co mu się rzadko zdarzało, nawet i Pieczonkę zaprosił na kieliszek, co dało kowalowi powód do zrobienia uwagi: — Jemu, cyganowi, godziłoby się prędzej dać kolanem i fora ze dworali. Podpatruje a to ludzi i potem przedrzeźnia „ceć niejako.“

Nadszedł do Karczmy i Bartek Młosz, najstarszy syn Majchra, chłop przeszło czterdzieści lat liczący, a od siedemnastu lat ożeniony z Magdą Kłodzianką; ten był z pomiędzy wszystkich pasierbów największym wrogiem Nastki.

Potoczyła się rozmowa o ciężkim zatargu chłopów z dziedzicem Lubądz, panem Szepietyńskim: szło o pewne kliny roli dworskiej,

nie czuła jest na odcienie i półtony zjawisk duchowych. Poeta o takiej organizacji, niedołączny czasem i obojętny wobec zjawiska zewnętrznego, ma dar dostrzegania najsubtelniejszych różnic w świecie myśli. I nie tylko dostrzegania ich, lecz, co stanowi jego siłę, wzruszania się niemi. Kategorie filozoficzne, łańcuch przesłanek logicznych, dialektyczny proces myślenia — przedstawiają dla organizacji takiej też samą żywość, dotykalsność form, też samą grę pełną życia, co życie samo dla organizacji „zmysłowca“. Wówczas poeta kochać się może w odczuwaniu pojęciu, jak w kobiecie, marzyć może o Cyfrze i o Słowie:

Cyfra z ziemi ku niebu — Słowo mknie z nieba na ziemię,
Ku sobie płyną wciąż — przyjdzie spotkania ich czas!
Tęskni za tą godziną duch nasz, gdy niby w Edemie
W jedną złączone moc — gwiazdą zapłoną w nas.

To nie jest tendencja w wierszu, to nie jest nauka w sztuce, ani filozofja w poezji, to jest poezja filozofji, to jest estetyka piękna duchowego, jasnowidzenie harmonji bezieleśnych kształtów myśli przed oczyma duszy. Słowo w tym świecie przestaje być narzędziem tylko, pośrednikiem między ja i niej, lecz nabiera niejako życia samoistnego. Nie jestże ono tam materją, w którą się przyobleka „stający się duch“? — I stąd w poetach tego rodzaju, w poetach-wizjonerach ta niezmierna wrażliwość na słowo, jego bogactwo i samorzutność, niezrozumiałe wprost dla tych, którzy używają go tylko za posługacza rzeczywistości. Słowo samo staje się „żywiołem“ z jego potęgą i samoródtwem.

Poezje Langego są niewątpliwie wytworem takiej właśnie pracy „stającego się ducha“, o czym świadczą zarówno ich drobne usterki, jak i wielkie zalety.

wrzynające się między pola Bartka i Franka, braci Młoszów. Za poprzedniego dziedzica, który przesiadywał w Paryżu, Młoszowie obsiewali te kliny rok rocznie i teraz uważali je za swą własność niezaprzeczną.

— Żeby ten zatracony ciarach na głowie stawał, nic on tu z nami nie wskóra! — wykrzykiwał Bartek z zapalem. — Jak pójdzie na sprawiedliwość, to taki język gruntu, co się na prawo i na lewo o moją rolę ociera, koniecznie muszą mnie przysądzić! No, a Frankowi zaś należy się to poletko, które przylega do jego żyta i jęczmienia.

— Przysądzą wam, skoroście przez tyle lat na tem polu gospodarowali, jak na swoim! — rzekł Wicek Maślak, uważany w Lubądzu za „okrutnego mówcę.“

— Kiej będziesz potrzebował świadków, wszyscy zeznamy! — zawołało kilka głosów.

— Tamte kliny swoim porządkiem są wasze po sprawiedliwości; ale grobla nad jezior-

Z rozmysłu pominąłem dotychczas ostatni z zamieszczonych w tomie utwór p. t. *Godzina*. Jest to urywek prozy poetyckiej, dający jak gdyby całokształt filozoficzny poglądów autora. Zarzuciłbym owej *Godzinie*, że zbyt traci bieżącą chwilą i stąd nie może mieć trwalszego znaczenia. Nie wdając się jednak w rozbiór filozofji utworu, pragnąłbym podnieść jego, że tak powiem, zasadniczą wartość artystyczną. Zdaje mi się, że proza poetycka dla poety, władającego, tak jak Lange, już nie tylko wierszem, ale wogóle słowem, jest areną, pozwalającą na szerszy, potężniejszy rozmach twórczy. Prozę poetycką, mimo wspaniałych tradycji, zaniedbano u nas w latach ostatnich prawie zupełnie. A jednak mam głębokie przeświadczenie, że jest to forma, w której poeta przyszłości znajdzie nową siłę. Bo jest to forma bezgranicznie swobodna, w której budowa frazesu, okresu, rozdziału objąć może całą skalę rytmu, nie przestając być jednością w kompozycji. Być może, iż słowo trudniejszym jest do opanowania w prozie poetyckiej, niż w wierszu, podobnie jak opanowanie dźwięku trudniejszym jest w muzyce wagnerowskiej, niż w melodyjnej piosence, więc muzyka słowa znajduje również swojego Wagnera... Lecz tutaj głos mają poeci.

JERZY GROT.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

JULJUSZ SIMON.

Przed paru tygodniami dokonał w Paryżu swego długiego i ruchliwego żywota Juljusz Simon, od pół wieku przeszło zażywający powszechnie znacznego rozgłosu. Była to umysłowość ży-

rem, ta, co przylega do mojej łączki, święcie do mnie należy — odezwał się Majcher.

— Oo, tam siano, jak którego roku zawali, to i cztery fury mieć można! I jakie siano!.. Siano w dubelt — końskie, gadzina za niem przepada, żre i oblizuje się jeno — powiedział Maślak.

Byłby pewnie coś jeszcze o tem sianie mówił, ale Bartek przerwał:

— Wam, panie ojczy, to tam niema potrzeby ze szlachcicem ciągać się po sądach, łaknąć bogactwa z dekretu! Wy i bez tego macie opatrzenie jak należy, a tym, co są przy was, chyba jeno ptasiego mleka nie dostaje. Co innego my, chudziaki!.. Sypią się oto dziecku, wnuki wasze, a nic niewiadomo, jakie będzie ich jutro... Ej, po co ja gadam? Toć sami dobrze wiecie, że u mnie, u Franka i u Jaśka ledwie koniec z końcem związać można. No, a czy to kiedy będzie nam lepiej?.. Broń Boże, do śmierci trza tak już stękać!..

wotna i przedsiębiorcza, chociaż niewybitna, charakter więcej wytrwały i prawy, niż wielki, talent bardziej kompilacyjny, łatwy i błyskotliwy, niż twórczy i oryginalny. Eklektyzmem napiętnowaną była jego wielostronna działalność: ciągle zszywał, łączył i kojarzył rozmaite sprzeczne kierunki i dążenia, zarówno w filozofji, jak w polityce; pod jednym względem tylko był wyraźnym, chociaż zbyt ogólnikowym, mianowicie w swej wierze republikańskiej. Francja winna w nim uczyć przede wszystkim obywatela, który idei rządu Rpltej bronił zawsze gorąco, nieraz z narażeniem własnych interesów i spokoju. Republikaninem był J. S. umiarkowanym, wielbiącym dobroczynność reform z 1789 r. głównie, potępiającym natomiast bezwzględnie wszelkie bardziej ostre i krańcowe objawy idei republikańskiej, bądź z 1793 r., bądź późniejsze. Krytykował surowo oportunistów rządów trzeciej Rpltej: jej parlamentaryzm zbutwiały i sprzedajny, nietolerancję religijną, egoizm ambitny jej przedstawicieli i pożądanie łupu. Był zdania „że republikańin, który się sprzedaje wyborcom, zaprzeda się także dyktatorowi.“ (Ob. „Nos hommes d'état“)

Piastował przez całe życie i poniekąd sam wyobrażał bardzo skromny, idylliczny ideał republikańina, „co ręce ma czyste, żyje w domu skromnie, wychowuje rodzinę w czci dla Boga i miłości ojezyzny, przyjmuje urząd tylko wtedy, gdy czuje doń powołanie“ (loc. cit.). Po szczeblach kariery wznosił się J. Simon szybko; wciągu długiego życia swego zajmował niejedno wydatne stanowisko, na każdym okazując wiele dobrej woli, zręczności, a niekiedy i stanowczości.

Urodzony w 1814 r., z rodziców bardzo ubogich, którzy go w dzieciństwie odumarli, już w 1838 r. zostaje profesorem filozofji głośnej „Szkoły normalnej“ (Ecole Normale Supérieure). Stamtąd po-

wołał go mistrz jego, Wiktor Cousin, na swego zastępcę do Sorbony. Na katedrze profesorskiej był J. S. wymownym heroldem filozofji eklektycznej Cousin'a, której jałowość i ubóstwo pokrywał tylko talentem krasomówczym. Żadnej nowej idei nie wytworzył, żadnego kierunku nowego w myśleniu filozoficznym nie obudził. J. Simon przyznawał później (patrz: „La femme au XIX-e siècle“) że to reprezentowanie na katedrze filozofji Cousin'a było dla niego dość uciążliwym i niezgodnym z pojęciem niezależności myśli. Dzieła filozoficzne, któreby miało większą wartość, nie napisał; historii filozofji zasłużył się głównie, jako wydawca dzieł: Kartezjusza, Bosueta i Malebranche'a.

Świetną wymowę użytkowywał później J. S. na arenie parlamentarnej, na którą powołał go r. 1848. W „Konstytuancie“ zasiadał pomiędzy republikańcami umiarkowanymi; po ruchu czerwcowym wspierał politykę generała Cavaignac'a. Napoleoński zamach stanu z 1851, przeciwko któremu wraz z innymi protestował, odsunął go na jakiś czas od czynniejszego udziału w sprawach publicznych i uczynił jednym z przedstawicieli opozycji republikańskiej. Jako taki został wybrany w 1863 r. do „Ciała prawodawczego.“ Po upadku cesarstwa przechodzi z szeregow opozycji do rządu, ściągając nieraz na siebie zarzut obrony tego, czemu dawniej się sprzeciwiał. W okresie 1870—77 uosobiał w rządzie politykę Thiersa. W tym czasie powoływano go na niejedno wysokie stanowisko (był ministrem sztuk pięknych) i obrzucano rozmaitemi zaszczytami (został członkiem Akademji itd). Jako mąż stanu doszedł swego apogeeum w 76 r., w którym powierzono mu utworzenie gabinetu i obdarzono taką ministą spraw wewnętrznych. Od 77 r. zaczyna stopniowo schodzić z widowni politycz-

— Co on znowu plecie? — rzekł Majcher, żywo się zwracając do Błażeja Ciurka, także z Młoszówną ożenionego. A Ciurek mu na to:

— Bartek niby do tego ciągnie, że jakbyście, panie ojczy, po najdłuższym życiu majątek swój na kogo przepisali i nie poszło do równego podziału na wszystkie dzieci, to ci synowie z pierwszej żony i ich siostra, moja kobieta, będą cieniuśko śpiewali... A precz toto okrutnie dietne, bo Pan Jezus wielki urodzaj na Młoszów daje: co rok — prorok.

— Skądże wy zaś wiecie, co będzie po mojej śmierci? Czym ja to zrobił jakie postanowienie na krzywdę własnych dzieci? Dla mnie żadne dziecko nie jest lepsze od drugiego.

Kiedy tak stary Młosz rozmawia ze swoim zięciem, Bartek nasluchuje jeno bacznie z boku, mruga na Maślaka i na ucho mu szeptem:

— Nie wiesz ty, co się takiego stało, że ojciec dziś tak miękko gada?..

— Baba mu w chałupie kłaków ze łba nardła i zaraz inny człowiek... Musi rozsierzdził się na nią o tę Krasulę, co padła; a ona go za łeb i basta!

— Wicek, żebyś ty tak dobrze przyciął staremu za to, że ów-tej małpie rządu w domu zdaje.

Maślakowi nie trzeba było dwa razy mówić, zaraz nakręcił rozmowę na Krasulę i wypytuje starego, co za przyczyna nieszczęścia. Opowiedział mu Majcher, że tak i tak: bydlę było ogromnie żerte, wpadło w koniczynę, nie dopatrzyli i już...

Dopiero Wicek rozpuścił język, ile że już sporo wypił, i jak też szczęśliwie wpadł na babskie rządy, tak już maścił, co mu ślina do ust przyniosła.

— Jakem żyw — powiada — nie widziałem nigdy porządku w takich gospodarstwach, gdzie baby rządzą, a chłop drze pierze, kądział przędzie, dzieci kołysze, drapaką izbę umiata, albo strzeże komina, żeby warza nie

nej, dając znaki życia tylko w Senacie, którego był członkiem dożywotnim.

Podczas długoletniego swego zawodu politycznego gorliwie zajmował się sprawą reformy nauczania narodowego i położeniem klas pracujących. Idee swoje w tej mierze rozwijał w szeregu prac, z których kilka, jak „L'Ouvrière“, „Le Devoir“ (tłum. na polski), „La Religion naturelle“, doznały wielkiego powodzenia i rozgłosu. Jako projektodawca reform, był głównie filantropem na wielką skalę, szukającym zbawienia w paljatywach. Naiwność swoją i idylizność posuwał tu nieraz do śmieszności (*La Femme au XX-me Siècle*).

Jako publicysta, odznaczał się stylem żywym i giętkim, był jednak bardziej retorem, unoszonym własną swadą, niż przenikliwym badaczem ducha czasu i jego potrzeb. Grzeszył nadto zbyt wielomównością i ogólnikowem, dialektycznem traktowaniem spraw. Wszystkie większe prace jego (*Le Gouvernement de M. Thiers; Souvenirs de 4 Septembre*) mają charakter dziennikarski; na poważnego historyka stworzony nie był; za mało był głęboki i zanadto tymczasowości zajęty. Z dziennikarza, literata i filozofa niewiele będzie miała potomność do przechowania; żadne dzieło nie przekaże jego imienia przyszłości, jako męża stanu, tym bowiem we właściwym znaczeniu tego wyrazu nie był; sam o tem wiedział, powiadając nieraz o sobie, „że był przyłódcą stronnictwa, które nigdy nie istniało“. Świetność jego zesłała razem z nim do grobu. Pozostanie o nim pamięć, jako o człowieku i obywatelu dobrych, bezinteresownych intencji, jako o republikanie czystym, pełnym gruntownych, zasad, któremi nie frymarczył.

WŁ. JABŁONOWSKI.

— skipiała, i rad, że go baba za nos wodzi. Pannie święty, tam rychtyk na to wychodzi, jakby kto na głowie chodził, a w nogach chciał mieć pomyslenie o rzeczach ważnych! Tam się wszystko naopak dzieje: baba ma długie włosy, żeby ją łatwo było za nie wodzić, chłop ma krótkie; ale i tak baba chłopca za łeb chwyta, doi, wodzi, poniewiera. Ona chodzi przez to w spódnicy, jako często potrzebuje kary, chłop chodzi poopinany; ale ona go i tak rznie w skórę... Tfu, do kaduka!“ — Maślak splunął z ogromnym zapalem za szynkwasa, aż się Chaimek schylił, żeby mu ślina nie padła między oczy. Ludzie szeptali, że ślina nie trafiła żyda, ale mowa — Majchra.

(C. d. n.).

ADOLF PYGASIŃSKI.

WITOLD JUSZKIEWICZ.

21 kwietnia 1896 r. zmarł na tyfus w Jurjewie (Dorpacie) Witold Juskiewicz, młody filolog, znawca litewszczyzny. Był on synem Jana Juskiewicza, pedagoga († 1886) i synowcem ks. Antoniego, zbieracza pieśni litewskich († 1880), autorów wielkiego słownika litewsko-polsko-rosyjskiego, złożonego w rękopisie Akademii nauk petersburskiej, którego druk rozpoczęto w r. 1884 i dotąd w połowie jeszcze nie ukończono. S. p. Witold miał wkrótce zostać docentem języka litewskiego w uniwersytecie petersburskim i przez akademię tamtejszą miał sobie powierzona redakcję dalszej części słownika swojego ojca i stryja. Wszystko to z jego śmiercią się przerwało. Do dalszego prowadzenia wydawnictwa słownika wyszukany być musi nowy znawca litewszczyzny oraz języka polskiego i rosyjskiego. Pojęcie o obszerności tego słownika dać może ogólna liczba wyrazów, dochodząca do 70 tysięcy, z których każdy przetłumaczony jest na języki polski i rosyjski, nadto przy każdym wyrazie dodana frazeologia, objaśniająca jego znaczenie i użycie. Pracą obu braci powstało to dzieło w ten sposób, że wyrazy i wyrażenia litewskie z ich znaczeniem polskiem zebrał wciągu lat wielu ks. Antoni Juskiewicz, przekładu zaś wszystkich wyrazów na język rosyjski dokonał Jan, który również zajął się uporządkowaniem całości, oglądaniem i poprawianiem wielu szczegółów, tudzież ostateczną redakcją słownika.

A. A. K.

VATROSLAV OBLAK.

Jednocześnie prawie, bo 15 kwietnia 1896 r. zakończył życie dr. Vatroslav Oblak, słowieniec, profesor filologii słowiańskiej uniwersytetu w Graczu (Graz). Przez śmierć jego nauka poniosła stratę bardzo wielką; był to bowiem jeden z najznakomitszych dziś sławistów i zeszedł przytem ze świata zbyt wcześnie, bo przeżywszy dopiero 32 lata. Umarł na suchoty, które dawno już groziły jego życiu. Ostatnimi czasami przebywał w m. Cilli w Styrii, gdzie umarł. I jako profesor uniwersytetu i jako autor pracował bardzo wiele. Był stałym i gorliwym współpracownikiem czasopisma Jagića „Archiv für slavische Philologie“ od roku 1887 (od tomu X), gdzie umieszczał prace swoje z dziedziny językoznawstwa i literatury Słowian południowych. Pomiedzy niemi z zakresu języka słowiańskiego znajdują się tam jego prace pierwszorzędnej wartości. Jeszcze ostatni tegoroczny zeszyt tego czasopisma (Archiv, XVIII, zeszyt 1—2) zawiera kilka prac i rozbiórów z językoznawstwa słowiańskiego, napisanych przez V. Oblaka. Dodamy, że pierwszym przewodnikiem naukowym, który zaznajomił s. p. Oblaka z lingwistyką i dialektologią słowiańską, był nasz uczonec Jan Baudouin de Courtenay; dalsze zaś wykształcenie specjalne zawdzięczał nieboszczyk profesorowi Jagićowi.

A. A. K.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Malarki na wystawie Tow. Zachęty S. P.

Reakcja przeciw suchym wymaganiom akademickim dawno już przeszła swoją formę najostrejszą. Dziś często małe studjum, lub lekko rzucony portret odnoszą zwycięstwo nad kolosalnych rozmiarów obrazami o treści bardzo głębokiej. Uniezależnienie względów czysto malarzkich od rzeczy, nie mających bezpośredniego związku ze sztuką, władania pendzlem, ma niezaprzeczenie pewną rację bytu, przechodząc jednakże w modę, zacieśnia w znacznej mierze zakres potrzeb estetycznych, a hipnotyzując gusta, wytwarza jakiś impresjonizm sądów. Rzeczy większe, dokładnie w szczegółach opracowane, choćby nawet były dziełami wielkich mistrzów, posiadają zawsze jakieś *ale*, którego łatwiej uniknąć w obrazie, mającym zaledwie niezdecydowanymi plamami, bez form określonych ściśle w rysunku, gdzie artysta pozostawia widzowi możliwość dopełnienia sobie w duszy rzeczy wyraźnie nie dopowiedzianych.

Takim właśnie impresjonizmem sądów tłumaczyć sobie powodzenie, którem cieszy się Olga Boznańska na wystawach europejskich. Talent to rzeczywiście ogromny. Płótna jej żyją i oddychają. Wystawione obecnie w salonach T. Z. S. P. obrazy jej życiem tem imponują niektórym swym sąsiadom, zwłaszcza najbliższej, pełnej pretensji, a mocno nieudatnej „Przeprawie przez rzekę” blaszanych żołnierzy Chelmińskiego. Najwybitniejszą cechą indywidualności tej artystki jest powietrność, którą osiąga za pomocą rozwiania, zagubienia w tle konturów malowanego przedmiotu, tak że widzowi wydaje się, iż gruba warstwa powietrza oddziela go od obrazu, mącąc jego wyrazistość.

Właściwe wszystkim jej pracom prawda i swoboda w układzie dają niezaprzeczone świadectwo dojrzałości artystycznej malarki i postawiłyby ją w rzędzie lepszych mistrzów, gdyby nie to, że hołduje zbyt nowym prądom, czy też zepsuta jest powodzeniem i zanadto zaufała własnej zręczności; obrazy te zdają się raczej robić wrażenie kunsztownych popisów wirtuoza, niż szczerych usiłowań zbliżenia się do natury. Nadto umyślne, graniczące z manierą unikanie jasności rysunku przypomina zamilowanie człowieka, który nie chce uchodzić za filistra i w porządku sprzątniętym salonie robi „artystyczny nieład,” kładąc stare buty obok drogich cacek.

Z trzech wystawionych w Zachęcie portretów najbardziej mi się podobał portret mężczyzny. Siedzi swobodnie, naturalnie, nie czuć na nim umęczenia pozą; usta zdają się drgać jeszcze resztką uśmiechu po jakimś słowie wesołym. Ręce co prawda trochę brudne, ale ułożone są dobrze. U nóg siedzi pies, ale tak niewyraźny, że trzeba mieć dużo dobrej woli, żeby go się w tej czarnej mazanie domyślić. Koloryt szary, brudnawy. Bardziej kolorowym jest wiszący obok portret damy w czerwonej sukni na tle czerwonym. Twarz blada, interesująca, czarne, żywe oczy składają się na całość bardzo przyjemną; psuje tylko wrażenie cień od nosa, po-

łożony na twarzy tak brutalnie, że wygląda, jak gdyby była połamana. Trzeci, pastelowy portret dziewczynki, utrzymany w kolorach niepewnych, wyblakłych, zaledwie zaznacza się na tle również wyblakłym; uderzają tylko swoją nadzwyczajną czarnością oczy — efekt, właściwy wszystkim wystawionym portretom, co jest dowodem, że artystka nie gardzi sztuczkami.

W każdym razie p. Boznańskiej należy się miejsce naczelne w licznym zastępie malarek, które w zwartym szeregu wtargnęły na wystawę Zachęty i nie na żarty zdają się zagrażać kolegom w walce o pierwszeństwo.

Nie wiem, dlaczego kobiety tak rzadko występują w malarstwie z kompozycjami większych rozmiarów. W literaturze żadnego rodzaju nie uważają za przechodzący ich siły, w malarstwie zaś ograniwiają się pejzażami, portretami i małymi obrazkami rodzajowymi, lecz za to w tym ciśnieńszym zakresie z taką energią zażywają pendzla, że trudno nieraz uwierzyć, iż z pod delikatnych palców niewieścich wychodzą dzieła tak mocne.

Na wyróżnienie zasługują przedewszystkiem portrety pani Nostitz Wasilkowskiej, szczególnie pastelowe (olejnym możnaby zarzucić pewną konwencjonalność w kolorystyce), p. Marji Gażycowej portret własny i doskonała głowa p. Dulembianki. Gorszym, nawet wcale nieszczególnym jest portret p. Dukzyńskiej. P. Alfonsa Kanigowska wystawiła obrazek rodzajowy „Co z niego będzie”, niewielkich wprowadzić zalet artystycznych, ale przyjemny w pomysł. Zanotujmy też kilka bardzo dobrych obrazków p. Kazanowskiej, pejzaże p. Stankiewiczówny i wreszcie drobne, ale prawdziwie artystyczne rzeczy, pozostałe po przedwieśnie zgasłej Annie Bilińskiej, której talent przebija z każdego najmniejszego szkicu. Taka notatka kolorystyczna „Na szafocie” dowodzi, że kobiety mogą w artyzmie dotrzymać kroku malarzom.

J. J.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

33. — „Wykonuję, wykonujesz” itd., „zajmować się,” „wypośredkować” (z niemiec. herausmitteln), „dumny na coś, albo na kogoś” (z niemiec. stolz auf...), „ważny tem, że...,” „zamienić chemś,” „mało tego, że...” są błędami; trzeba mówić: „wykonywam, wykonywasz” itd., „zajmować się,” „wyśledzić, dojść, dośledzić, wyszperać, wybadać,” „dumny z czegoś, z kogoś,” „ważny w tem, albo z tego względu, że...,” „zamienić na coś,” „nie dość, że...,” albo „nie dość na tem, że...”

NA WIDOWNI.

O tem, jak handel tandeciarski znieczula język i przekona-
nia. — Skąd i dla czego? — Czemuż pracownicy kolei Wie-
deńskiej nie są dżokiejami!

Mając zapewne na względzie przysłowie o kamieniu i kropli, wprowadził *Głos* stałą rubrykę „Błędy językowe.” Krople tej wiedzy językoznawczej spadać miały na skalę naszej obojętności względem gramatyki i logiki własnego języka. Myślałem, że „najpiśmienniejsi” kierownicy naszej opinii, nie mający czasu na naukę dłuższą i porządną, skorzystają przynajmniej z tych dorywczych i przygodnych wskazówek. Aby sprawdzić to słodkie przypuszczenie, przeczytałem sobie naprzód kilka ostatnich upomnień *Głosu*, a potem wziąłem się do przejrzenia jednej jedynej rubryki w jednym jedynym egzemplarzu jednego tylko *Kurjera*. Nauczyciel przypominał po pierwsze, iż nie *przyjmuje się* udziału, ale *się bierze*, po drugie mówił o potrzebie stawiania w pewnych wypadkach przymiotnika po rzeczowniku, po trzecie zaznaczył, że się ograniczamy *czem*, nie zaś *do czego*, albo *na czym*, po czwarte, że zaimek *który* w zdaniach dodatkowych pisać należy zaraz po wyrazie, do którego się stosuje. Zobaczymy teraz, jak z nauki tej skorzystał uczeń w telegramach z d. 2 czerwca. Przedewszystkiem oznajmił światu, że „w koło (?) pola Chodyńskiego zbierać się zaczęły tłumy *dla przyjęcia udziału* w zabawie,” że „według *tureckich źródeł* (nie zaś *źródeł tureckich*) powstanie na Krecie ogranicza się *na okręgu*”, wreszcie iż „wysłano znowu na wygnanie 14 osób, w *liczbie których* znajduje się” itd. Nie wiem, czy inne przestrogi równie starannie zostały zużytkowane, ale to widzę, że język nasz marnieje coraz bardziej. Nie idzie tu już nawet o większą lub mniejszą gramatyczność, ale o zagładę ducha, o utratę indywidualności. Gwara płacht drukowanych staje się powoli martwym zasobem wyrazów, których reporterzy zażywają tak, jak zecer swoich czcionek. Mając przed sobą materiał niemiecki, francuski, albo inny, sięgają oni kolejno po takie słowa, jakich mniej więcej żąda od nich pierwowzór; ale tak samo jak zecera nie obchodzi nic, jaki wyraz utworzy się z podyktowanych mu głosek, tak oni nie troszczą się o zdanie, które z ich wyrazów się ułoży. Język tych tandenciarzy podobny jest do kupy starzyny. Cudzoziemiec

stara się przybrać myśl swoją w takie szaty i w takim porządku, jakich i jakiego domaga się jego obyczaj narodowy. Małpa, ściągająca artykuły, łapie coprędzej z owej kupy starzyny takie same sztuki odzieży i przystraja niemi myśl cudzą, mało dbając o cudackie połączenia części. Jeżeli chłopu dostaną się przytem pończochy, babie płaszczy, to winnym tej maskarady będzie język francuski, lub inny.

Błada, bezbarwna, anemiczna włóczy się larwa mowy naszej po gazetach warszawskich, jak najemnica, gotowa do najpodlejszych posług każdej „dzikiej kobiety,” „tygrysowatej dziewczyny,” gotowa nałamywać się i przystosowywać do wszelkiego żargonu, byle tylko coś zarobić i byle nie żądano własnego jej ducha, indywidualności i mocy własnej. Dla tego to *przyjmuje* ona istotnie narzucony jej udział we wszelkich niegodziwościach językowych, *przyjmuje* formę obcą, nie przybierając postaci własnej, przyjmuje charakter łachmaniarki, albo pajaca, przyjmuje kierunek, prowadzący do samobójstwa. Brak gramatyki—to tylko brak wiadomości przepisów, uznanych za obowiązujące, ale brak własnego ducha, indywidualności—to poprostu brak praw obywatelskich należenia do rzeszy języków. Wolalbym sto razy reportera, który się „zawzinał na wszystkie te termedyje babów opętanych,” aniżeli takiego, co to „wątpi w sukces emancypacyjnej kwestji,” albo „nie radzi Grekom przyjmować udziału w procesie pacyfikacji Krety.” Jakaś żydowsko-handlarska arogancja nie pozwala naszym tandenciarzom językowym poprawić się z błędu. Parę lat temu *Izraelita* w nagłówku rubryki stałe umieścił wstrętny barbaryzm „Za tydzień” (zam. „Z tygodnia”); wskazywano mu omyłkę kilkakrotnie, nareszcie się poprawił, ale może czytelnicy dla przekonania się o uporze naszych sprzedawców języka zechcą założyć się ze mną, że „tygrysowate dziewczęta,” paradyjące dziś po Kurjerach, nie staną się nawet „dziewczętami tygrysowatemi” aż do końca wystąpień swych w Warszawie?

Bezbarwności szaty zewnętrznej odpowiada też iście handlarska „delikatność” przekonań. Pismo, które jedni prenumerują dla telegramów, inni dla powieści, inni dla baniek mydlanych, jeszcze inni dla szarad i logogryfów, dla ogłoszeń i reklam, zaś nikt dla zasad—nie może mieć zasad. Wypowie się na korzyść emancypacji? A lichy ich wie! Może właśnie dziewięciu szaradzistów, piętnastu bań-

karzy, dwudziestu logogryfistów są zwolennikami rodzinnego kojca... Zaznaczy swą sympatię dla kojca? A może kilkadziesiąt czytelniczek powieści zapisało się wczoraj do „zwarjowanych feministek.” Proszę np. przeczytać ocenę scenicznego paszkwilu M. Bałuckiego: wymarzona delikatność sądu! *Sprawa kobiec* Bałuckiego wydrwiwa kwestję kobiecą, a w niej nie tylko emancypację w poważnym, nietrywjalnym znaczeniu, ale i tę skromniejszą dążność, którąby można określić, jako pragnienie światła. No! — myśli sobie przygodny czytelnik *Kurjera*, nie szaradzysta i nie bańkarz, ale wyznawca jakichś zasad—chyba on nie puści płazem mamutowi tego znęcania się nad dążnością „skromną.”—Owszem puści! On potrzebuje puścić Bałuckiemu robić dobrych interesów na te emancypacje, bo on sam potrzebuje robić dobrych interesów też—na szarady i bańki... „Gdyby się to stało bliżej *Radców pana Radcy*, kiedy jeszcze twórczość dla teatru nie wiedziała, dokąd pójdzie, w jakim ustali się kierunku, temat z pewnością byłby inaczej podjętym i przeprowadzonym, niż obecnie, gdy czas wycisnął swoje piętno, nałożył swe kajdany i pierwotny popęd utrwalił w nałóg takiego a nie innego tworzenia. Musimy przyjmować co jest, pytając tylko, „skąd i dla czego.” „Ny, co jest? Co jest takiego, a nie innego?” —zapytujemy recenzenta, idąc za głosem jego rady.—Skąd i dla czego mamy tu tę, a nie inną ocenę, z której wynika jedynie, że głównymi sprawcami głupstwa scenicznego są chyba *Radcowie pana Radcy*, gdyż nie umieli oni zwerbować *Sprawy kobiecej* na bliższą sąsiadkę. Ale musimy przyjmować co jest, jeżeli obok rozprawy o emancypacji chcemy mieć szarady i logogryfy. Skąd i dla czego? Stąd i dla tego, że gieszeft wycisnął swoje piętno, nałożył swoje kajdany na *Kurjera* i pierwotny popęd utrwalił w nałóg takiego, a nie innego tworzenia.

Ten sam gieszeft każe brać rozbrat z delikatnością i kładzie piętno arogancji, gdy idzie już nie o głupie zasady, ale o monetę brzęczącą, albo o rachunki zemsty osobistej. W księdze jubileuszowej, mającej tysiące czytelników, uwiecznia się wtedy imiona nienawistnych sobie osobistości, jako *dłużników* pisma, pomimo wspaniałomyślnego „umorzenia” długów; kiedy zaś mniemany dłużnik wykaże niesłuszność uroszczeń i nazwie niegodziwość po imieniu, wtedy sypie się nieszcześliwym szaradzystom w oczy piaskiem

cyfr i faktów, nie mających nic wspólnego z zarzutem głównym i przechodzi się z konceptami do zwykłej rutyny takiego, a nie innego tworzenia baniek mydlanych. Gdyby nie anemja naszej opinii, gdyby nie powszechna bezsilność zasad moralnych wobec rozkoszy zgadywania logogryfów, czytelnicy *Kurjera* po jego gorszącej utarczce z Prusem urządziłyby mu jubileusz największy z dotychczasowych, ale już ostatni. Ale w cóżby się obróciła mądrość narodu bez łamigłówek kryształowych?

Mądrość ta miała niedawno do rozwiązania dręczącą umysł nie od dzisiaj łamigłówkę gratyfikacji na kolei Wiedeńskiej. Z rozwiązania tego wynikła nowa łamigłówka, trudniejsza bodaj od tamtej. Zgromadzenie akcyjarskich uchwaliło, że „z gratyfikacji korzystać mają ci wszyscy, którzy wysłużyli na pomienionej kolei lat 25,” ale że „wynagrodzenie obejmuje specjalnie znajdujących się w roku jubileuszowym na służbie i że zatem nie stosuje się ani do emerytów, ani do tych, którzy następnie obowiązki na kolei pełnić zaczęli, lub zaczną.” Z takiego a nie innego postawienia sprawy okazuje się, że jubileusze wpływają u nas w ogólności na gmatwanie pojęć rachunkowych. Jeżeli nie robi się wtedy dłużników z tych, którym dług „umorzono“ i którzy zresztą dłużnikami nie są, to przynajmniej nie czyni się wierzycielami tych, którzy do liczby wierzycieli należeć powinni. Nie sądz jednak, czytelniku, żeś się już dowiedział, co postanowiono na kolei Wiedeńskiej. Gdy nie idzie ani o spódnicę aktorki, ani o „tygrysowate dziewczęta,” ani o jakąkolwiek sprawę, którą naczelny kierownik opinii może ogarnąć jednym spojrzeniem, jesteśmy na łasce bałamutnych wieści reporter-skich. Prawie tego samego dnia, kiedy *Kurjer Warszawski* zawiadomił cię, że „zatem wynagrodzenie nie stosuje się ani do emerytów, ani do tych, którzy następnie obowiązki na kolei pełnić zaczęli lub zaczną,” w *Kurjerze Codziennym* czytasz, że „postanowiono udzielić takową w wysokości $\frac{1}{4}$ całorocznej pensji *wszystkim*, którzy wysłużyli na kolei lat 25 i w przyszłości wypłacać taką gratyfikację *wszystkim* urzędnikom, którzy tę liczbę lat służby ukończą.”

Jeżeli prawdziwą jest wiadomość pierwsza, jeżeli osoby, obejmujące miejsce na kolei Wiedeńskiej po ekstazie jubileuszowej, nie doczekają się gratyfikacji nawet po latach 25, to doradzilibyśmy im obrać zawód dzokiejów.

Krajowa rada opiekuńcza dzókiejów postanowiła „wyasygnować z funduszków Towarzystwa sumę rs. 8.000, od której procenty mają być obracane na wsparcia dla zubożalnych dzókiejów, trenerów oraz ich rodzin.“ Ponieważ dzókieje z natury rzeczy nie mają służyć bardzo długo, ponieważ opiekunowie nie kładą im za warunek, aby znajdowali się u startu podczas jubileuszu setnego *handicapu*, ponieważ jedynym warunkiem otrzymania zapomogi ma być „zubożalność“—o co pracownikom drogi Wiedeńskiej nie powinno być tak trudno,—więc ci z pomiędzy nich, którzy gratyfikacji dostać nie mają nadziei, uczynią dobrze, zmieniając powołanie na korzystniejszy i lepiej widziany zawód dzókiejski.

JAN WEZNAKI.

G Ł O S Y.

Z syllogizmów *Kraju*. — Tajemniczy werbunek. — O piąstwie w Warszawie. — Odpowiedź d-ra J. Polaka. — Dla czego? — O korespondencję *Tygodnia*.

(wl.) W ostatnim numerze *Kraju* znajdujemy niezwykle ciepłą wzmiankę o zmarłym arcysięciu austriackim Karolu Ludwiku. Obawiając się niedyskretnego pytania, co może polskich czytelników obchodzić osoba arcysięcia, *Kraj* zgóry objaśnia, że zmarły był „przyjacielem Galicji,“ a nazwa ta „nienajgorszej określa stosunek zmarłego do tej prowincji.“ Autorowi artykułu nie chodzi oczywiście o to, co zrobił zmarły w przypisanym mu charakterze. Organ, który chęłpi się tem, że liczy się tylko z brutalnymi faktami, a nie uznaje żadnych czynników idealnych, pozostawiając je ludziom „słabej głowy,“ mógłby podać chociaż jeden fakt konkretny, świadczący o tej przyjaźni. Ale o to trudno, lepiej więc zamknąć usta ciekawym, twierdząc, że „umiał on odegrać tę rolę do końca z *taktem wielkiego pana*.“ W dalszym ciągu p. Vigilax rozdziera szaty, nad brakiem zmysłu politycznego (nb. w znaczeniu „krajowemu“) i woła ze zgrozą: „A jednak... w swoim czasie, „wytykano palcami tych „Schwaregelberów,“ którzy się z arcysięciem stykali.“ Bo u nas: „popularność decyduje o wszystkim. Gdy wymaga kamienowania ugodowców, kamienujemy... a przedewszystkiem płyniemy z prądem.“ Ale po burzy następuje zwykle piękna pogoda; prąd się zmienił; p. Vigilax, konstatuując ten fakt, rozchmurza sfaldowane czoło i intonuje hymn na cześć logiki (zawsze naturalnie „krajowej“):

„Kto umie myśleć logicznie, przyzna, że młody arcysięża nie byłby nabrał życzliwości dla społeczeństwa, gdyby się społeczeństwo odwróciło od niego (zdumiewające odkrycie!). Jeżeli więc

cieszyliśmy się (?) tą dla nas sympatją, to za prawdziwą zasługę powinniśmy uważać zabiegi tych, którzy, przezorniejsi od reszty społeczeństwa, umieli tę iskierkę zapalić.“

Bodaj to logika! Laurowemi wieńcami zasługi zdobi czoła tych, których położenie towarzyskie pozwala na przyjmowanie arcyksiażąt.

W tymże numerze we wspomnieniu pośmiertnem o biskupie Nowodworskim znajdujemy następujące słowa:

„Nie należał on do ludzi popularnych. Brak popularności nie rzuca cienia na pamięć jego, bo był skutkiem jednej więcej zalety i zasługi.“

Jeżeli podobna niepopularność jest skutkiem „jednej więcej zalety i zasługi,“ to czemu *Kraj* wstydzi się swej niepopularności i narzuca się ludziom?

(s. k.) W *Pet Wied.* spotykamy urywek korespondencji z Płocka do pisma rosyjskiego *Syn Oticz.*, Urywek ten w brzmieniu dosłownem przytaczamy.

„Wzdłuż całego prawie pogranicza z Prusami obserwować można szczególny ruch, dotychczas jeszcze dokładnie nie zbadany. Żydzi i żydzięta—ten najczulszy barometr—krążą na pograniczu, tajemniczo zaczepiają zdrowych i dzielnie zbudowanych mężczyzn, zachęcając ich do jakiegoś przedsięwzięcia. Tajemniczość intrygi żydowskiej zrodziła mnóstwo najdziwniejszych plotek. Opowiadają, że na pograniczu zachodniem zorganizowano agenturę żydowską dla werbowania młodych ludzi do wojska północnej, czy też południowej Ameryki. Inni twierdzą, że werbowanie odbywa się na rzecz Włoch dla podtrzymania armii afrykańskiej. Agentura otrzymuje za każdego rekruta 12 do 18 marek.

Szczególnie poszukiwani są żołnierze zapasowi, którym obiecują sute utrzymanie. W okolicach Mławy zwerbowano podobno w ten sposób przeszło 1500 osób.“

(wl.) *Gazeta Warszawska* w paru artykułach informuje nas o tem, jak wygląda „Warszawa w nocy.“ W powodzi pustych i wytartych frazesów o „rozkładzie rodzin,“ o jadzie alkoholizmu,“ sączonym w krew ludności przez warszawskie „knajpy“ można zresztą znaleźć kilka myśli dobrych i słuszych. Ale myli się autor, przypisując Warszawie, że posiada największą ilość zakładów, poświęconych kultowi Bachusa, w porównaniu z wielkimi miastami w Europie. Możemy zapewnić, że stosunek ilości tz. „knajp“ do liczby ludności jest znacznie większy w każdym miasteczku nawet szwajcarskiem, aniżeli w Warszawie. Toż samo można powiedzieć o stosunku chorób, spowodowanych alkoholem, do ogólnej ilości chorób; w tym wypadku mamy na myśli szczególnie Francję i Anglię. Wreszcie w Warszawie spotyka się na ulicy mniej ludzi pijanych, niż gdzieindziej, a zatrucie się alkoholem ma tu charakter przypadkowy, sporadyczny, a nie chroniczny, jak np. w Niemczech, gdzie każdy

mężczyzna codziennie wieczór i część nocy w knajpie przepędza.

Przyczynę złego widzi p. K. w zbyt późniejszej porze zamykania większości zakładów piwodajnych. Istotnie nigdzie na świecie tak wiele restauracji nie stoi otworem do 3-ej w nocy, jak w Warszawie. W pewnej więc mierze autor ma słuszość, ale powierzchowny powód bierze za przyczynę, która tkwi znacznie głębiej.

Przyczynę tę między innymi stanowią: brak sposobności obcowania zbiorowego poza knajpą, dalekie warunki ekonomiczne, utrudniające zawieranie małżeństw (jak wiadomo, większość gości restauracyjnych rekrutuje się z t. z. „ludzi samotnych“), a wreszcie i przede wszystkim postępowość demokratyzacja społeczeństwa. Z konieczności prowadzi ona za sobą zmianę małego osobistego domku, czy, jeżeli kto chce, „ogniska rodzinnego“ na duży dom ogólny, lub wielkie „ognisko“, przy którym więcej ludzi ogrzać się może. Gdzieindziej tendencja ta znajduje swój wyraz w powstawaniu coraz to nowych klubów i stowarzyszeń, u nas w życiu restauracyjnym.

Myli się również p. K., twierdząc, że przebywanie w knajpach wprowadza „rozkład w rodzinę“. Bierze on tu przyczynę za skutek. Dla czego zaś rodzina w jej formie dzisiejszej się rozkłada, to już oczywiście temat, znacznie przekraczający ramy niniejszego artykułiku.

Ale najzabawniejsze jest zakończenie wzmiankowanego artykułu. Góra rodzi mysz; p. K. po przedstawieniu złego, szuka na nie lekarstwa w... przyspieszeniu zamykania restauracji w nocy.

Podług nas, komu sprawa alkoholizmu istotnie leży na sercu, niech się bierze do zakładania stowarzyszeń wstrzemięźliwości; więcej tam robi, niż pisaniem sentymentalnych artykułów.

* * *

Nie jest to rzeczą właściwą pisać nekrologi w stylu polemicznym, atoli autor wspomnienia pośmiertnego o świeżo zmarłym d-rze Ludwiku Natansonie w ostatnim numerze „Wszechświata“ wyświadczył taką właśnie niefortunna przysługę cieniem zmarłego.

Pan H. H. jest oczywiście zwolennikiem kontrastów i dla tego, potępiwszy w pierwszej połowie nekrologu lekarzy dawniejszej epoki, ozdobił nekrolog swój w dalszym ciągu takim ustępem:

„Pomimo niezmiennego przewrotu jakiego medycyna doznała w upłynionych od owego czasu 50 latach... bystrzejsze umysły lekarskie i obecnie jeszcze jasno dostrzegają niezmiernie i zdumiewające braki i płytkości w będących w codziennym obiegu zasobach swej nauki i ze szczerem przejęciem spoglądają na rozpaczliwe prawie szamotanie się badaczy, usiłujących wszelkimi będącymi w ich rozporządzeniu środkami rozjaśnić tajniki życia i śmierci, zdrowia i choroby. Ale liczba takich dalekowidzących umysłów, nie dających sobie oczu zamydlić *sztuczkami wystawowymi* bywa wszędzie bardzo szczupła, a przed 50 laty można ich było na palcach policzyć“.

Autor więc uważał za niemożliwe oddać cześć zmarłemu, nie dotknawszy wystawy higienicznej,

w której przeszło stu lekarzy wybitniejszych czynny bierze udział. Prawdą jest, że w medycynie w ciągu 50 lat stał się przewrót, ale wszakże pomimo niezmienności od tego czasu liczby palców, trudno było wówczas zliczyć na nich zwolenników „sztuczek wystawowych“, bo sztuczki takie należą do owego właśnie postępu i przed 50 laty nie istniały. Niepodobna przypuścić natomiast, aby dziś potrzeba było aż do wskazanej metody arytmetycznej uciekać się, wyszukując między ludźmi poważnymi przeciwników instytucji, na którą złożył się cały poglądowy wykład higieny i to zarówno dla specjalistów, jak dla uczzonego ogółu. Wistocie takich „szamoczących się rozpaczliwie“ obserwatorów można chyba i z amputowanymi palcami na ręku policzyć... Że nie tylko bystrzejsze ale i słabsze umysły „i obecnie jeszcze (a czy później nie będą?) jasno dostrzegają niezmiernie płytkości w zasobach swej nauki“, na to zgoda, ale dość przeczytać powyższy ustęp p. H. H., aby spostrzec również, że jeżeli nie wystawa, to coś innego już dawniej musiało mu oczy zamydlić! Sprawia on wrażenie człowieka, który, pomimo że się za daleko widzącego uważa, w istocie tylko bardzo blizkie przedmioty dobrze spostrzega, ale jeżeli chce obejrzeć szersze pole widzenia, to kończy tylko na szamotaniu się, widzi chaos i własną wielką postać wśród niego.

Wreszcie dla scharakteryzowania źle pojętego przez p. H. H. umysłu zmarłego Ludwika Natansonę winniśmy tu zaznaczyć, że był on wielkim zwolennikiem Wystawy Higienicznej i nawet pomimo bardzo już nadwątłego zdrowia, brał udział w pierwszych obradach jej sekcji szpitalnej.

J. Polak.

* * *

(x) Sprawa jest tak dziwna, że mimowoli z ust się wyrывa wynaleziony przez *Echo muzyczne* wyraz zdziwienia: dla czego?! Dla czego sprawozdawcy muzyczni dzienników warszawskich piszą tak wiele o popisach orkiestr niemieckich Ertla i Meydera, lecz ani razu nie wspomnieli dotąd (środa) o świeżo wyklutej kapeli Towarzystwa muzycznego, rozpraszającej ciszę „Hygieopolu“? Na toż nękanie nas tak długo narzekaniem na brak orkiestry miejscowej, projektami jej zawiązków, wreszcie jękami porodowymi, abyśmy teraz nie wiedzieli, co o tej orkiestrze trzymać? Czy mamy spodziewać się jej rozwoju, może nie jest warta?

Bocianem tego dziecka o dwóch głowach (pp. Pilecki i Konopasek są jej dyrektorami) było ciało lekarskie. Towarzystwo muzyczne jest zbyt wątłe, więc od razu oddało je „na mamki“ Wystawie higienicznej. Jeśli rodzinę Tow. muzycznego nie stać na alimenty, niechajże daje dziecku przynajmniej opiekę moralną. Tymczasem pp. Ciechomski i Polński, najruchliwsze bacillusy muzykalności warszawskiej, rodzeni wujowie, że tak powiem, nowej orkiestry, co wieczór na zmianę wodzą oczyma za batutami pp. Ertla i Meydera, poczem długo w noc piszą sążniste sprawozdania o tem, jak to w Niemczech nawet pospolite orkiestry dochodzą do wprawy.

Ta obojętność dla własnej orkiestry jest nie-

wytłumaczona. Bo gdzieindziej w dużych miastach zdarza się często, że sprawozdawcy wiążą się w rozmaity sposób z orkiestrami, konkurującymi z sobą i pomagają im w walce. Dyrektorzy, aby ich sobie zjednać, prócz biletu wejścia, zapewniają im co wieczór dobrą kolację i zwracają „za dorożkę“ kwotę, za którą można wynająć 25 dorożek; ale u nas, którzy ciągle słyszymy o czystości rąk dziennikarskich, powtarzam, trudno pojąć, dla czego krytyka tak nierównomiernie obdziela względami siły artystyczne.

* * *

(x) Korespondent *Tygodnia* piotrkowskiego, p. Adolf Starkman, złożył nam następne oświadczenie:

Szanowny Redaktorze! W krytyce moich zarzutów, postawionych p. d-rowi Polakowi w „Tygodniu“ piotrkowskim, użył Sz. Pan wyrażenie „napastowany“, *jakie* unikając wogółności polemiki, zmuszony jestem sprostować. Nie napadam przedewszystkiem na nikogo wogóle, nie napadałem też na d-ra Polaka w szczególności; pragnąłem tylko wytknąć niektóre z błędów głównego organizatora wystawy higienicznej dla dobra sprawy, a to przecież „napaścią“ nazwanem być nie może... Z szacunkiem itp.

List ten niczego nie prostuje, zresztą nie p. Starkmana karciliśmy, lecz redakcję *Tygodnia*. Każdy pisze sobie prywatnie to, na co go stać, ale redakcja jest organem spraw publicznych i powinna mieć, jeśli nie rozumienie, to t. zw. „nos“, gdzie są granice interesu publicznego.

Wystawa higieniczna.

IV.

Dział higieny ludowej.

Jeszcze przed rokiem, kiedy zaczęto dopiero krzątać się koło wystawy higienicznej, komitet jej porozsyłał między innemi na wszystkie strony odezwę o dostarczanie danych dla utworzenia specjalnego działu higieny ludowej. Już samo poruszenie tej ważnej sprawy, a tembardziej szczerze zajęcie się doprowadzeniem jej do skutku, poczytać winniśmy za doniosłą zasługę komitetu obecnej wystawy, — szczególnie zaś d-rów Tchórznickiego i Dobrzyckiego, znanych nie od dziś gorliwych krzewicieli zasad higieny pośród ludu. Że usiłowania ich nie odniosły w zupełności spodziewanego skutku, to prawda; ale nawet to, co widzimy na wystawie tegorocznej, przedstawia niewątpliwy interes i wykazuje, co możnaby zrobić w tym względzie przy większym, chętniejszym udziale inteligencji prowincjonalnej.

Żałować wypada, że dział higieny ludowej rozbity został i rozrzucony po różnych budynkach: postaramy się jednak wybrać z niego szczególne najważniejsze i ułatwić w ten sposób orjen-

towanie się w nich tym, którzy po nas będą wystawę zwiedzali.

Przedewszystkiem zajdziemy do chaty wiejskiej, zbudowanej przez pp. Tchórznickiego i Dobrzyckiego. Jest ona dość obszerna. Składa się z sieni, dwóch izb większej i mniejszej (alkierza), oraz z komory, posiadającej jednocześnie schody na strych i zejście do łozku. Okna duże, o 6 szybach. Piec chlebowy, połączony z kuchnią angielską, wspólny, na środku ściany, dzielącej obie izby. Przestrzeni i światła dość. Pod tym względem chata, jakkolwiek mała, jest niewątpliwie higieniczną; jednego wszakże jej brak, mianowicie swojskości w postaci zewnętrznej. Ten szeroki, do szopy raczej podobny ganek, przyczepiony z jej boku, szpeci ją stanowczo. Ważniejszy zarzut postawilibyśmy strzesze słomianej, która na okazowej chacie mogła być być zrobioną ze słomy maczanej w glinie, a więc bezpiecznej od ognia. I jeszcze jedno: zamiast zastawienia izb modelami chat, odpowiedniej byłoby umieścić w nich niezbędne sprzęty, obrazy, zegar, szafę z książkami i dać obraz chaty chłopskiej zupełnie urządzonej.

W pobliżu chaty widzimy model czworaka dla służby dworskiej, z Szepietowa, w gub. Łomżyńskiej. Prawda, że w porównaniu ze zwykłemi u nas czworakami jestto prawdziwe cacko; ale jest w nim też parę poważnych wad: najpierw, izby po dwie są połączone zupełnie, odziera je bowiem tylko piec, bez ściany, co przy wspólnem mieszkaniu dwóch rodzin nie jest wcale pożądanem, choćby ze względu na kłótnie zazwyczaj kobiety; powtórę zaś nie uważamy za trafne umieszczenie z boku wysokich kilkustopniowych schodków, tam gdzie zawsze bywają drobne dzieci.

Jako okaz wysoce niehigienicznego budynku zwraca uwagę bardzo procowity model domu żydowskiego z osady Łaszczoza w gub. Lubelskiej, wystawiony przez p. Koskowskiego, prowizora farmacji. Trzeba było rzeczywiście szczerze chęci przysłużenia się ogółowi, żeby model tej prawdziwej arki Noego, z ludźmi i czworonogami, ze sklepikami żydowskimi, sprzętami, betami, krowami w stajenkach itp. podług ścisłych pomiarów wykonać. Patrząc z góry, przez zdjęty dach, na to mrowisko żydowskie, dopiero nabiera się dokładnego pojęcia o tym steku zaduchu, brudu i chorób po naszych miasteczkach, jaki przedstawiają domostwa tych biedaków.

Od mieszkań przejdźmy do higieny żywienia się. Pod tym względem wystawa dla szerszej publiczności jest mało efektowną, mało obrazową, a więc niedość pedagogiczną; to też widzieliśmy liczne gromadki, przesuwające się bez zwrócenia najmniejszej uwagi na rozwieszone na ścianach tablice żywienia się ludu, względnej wartości pokarmów itp. A jednak w tablicach tych mieści się materiał, jeśli nie zupełnie nowy, znany bowiem z prac poprzednich d-rów K. Chetehowskiego i Szterlinga, to w każdym razie przeważnie samodzielny i wysoce pouczający.

Oto np. parę cyfr z tablicy żywienia się ludu, zestawionej przez d-ra Szterlinga:

Na dobę zjada	białka	tłu- uszczów	węglo- wodanów
	gramów	gramów	gramów
Włościanin z Ciechanow- skiego	135	60	893
Włościanin z Nowomiśla bawarski	90	47	599
„ „ „ „ „	143	100	780
Kosiarz z gub Astrachaf- skiej	215	152	537
Robotnik fabryczny u nas	106	42	511
„ angielski	156	71	567
„ rosyjski	144	54	805
„ francuski	138	80	503

Wnioski nasuwają się same przez się, szcze-
gółnie zaś wobec danych z innej tablicy, że:

Na dobę zjadać powinien:	białka	tłu- uszczów	węglo- wodanów
	gram.	gram.	gram.
Mężczyzna dorosły przy ciężkiej pracy	147	89	486

Ciekawem również jest zestawienie ilości
dziennego pożywienia żyda z Łaszczoza i wło-
ścianina, podane w tablicy graficznej p. Koskow-
skiego. Okazuje się, że używają na dobę:

	Białka	tłu- uszczów	węglo- wodanów	sol	wody
	gr.	gr.	gr.	gr.	gr.
Włościanin	100	30	740	50	4000
Żyd z Łaszczoza	100	20	490	40	2500

przyczem jednak: białka zwierzęcego
Włościanin 5%
Żyd 3%

Daje się to wytłumaczyć używaniem przez
żydów przynajmniej raz na tydzień ryby, gdy
nasz włościanin mięsnego pokarmu wogóle jada
bardzo mało.

Nie możemy tutaj powstrzymać się od zdzi-
wienia, że na wystawie obecnej niema tych da-
nych o żywieniu się ludu naszego, które przed
dziesięciu jeszcze laty zebrał p. K. Prószyński
za pomocą Gazety świątecznej. Wobec tego, że
dane te zbierane były przez setki osób w inte-
resie ogólnym, sądzimy, że w każdym razie sta-
nowią one własność ogółu i prędzej czy później
winny być w całości ogłoszone. Żałować wypa-
da, że nie stało się to na wystawie tegorocznej,
byłoby bowiem znacznie ją podniosło.

Z higieny napoju praktyczne znaczenie może
mieć rysunek d-ra Sztetlinga, przedstawiający
przekrój studni zwyczajnej, z lichem ocembrowa-
niem, przez które przeciekają organiczne nie-
czystości z obory itp., i studni z murowaną
cembrowiną, gdzie zanieczyszczenie jest usunię-
ciem.

Szkoda, że nie znalazł się nikt, ktoby obra-
zowo przedstawił zużycie u nas napojów wysko-
kowych, szczególnie wódki: na wystawach za-
granicznych zazwyczaj widzi się naturalnej wiel-
kości naczynia, tej objętości, jaką rocznie wypija
ją (wódki, piwa, wina) np. robotnik, włościanin
itd. Wogóle nie zauważyliśmy danych o pijań-

stwie, które na Wystawie higienicznej znajdo-
wać się chyba powinny.

Dział ubiorów ludowych, umieszczony w bu-
dynku „prowinjonalnym”, przedstawia się bar-
dzo obficie i wyczerpująco, dzięki zbiorom Mu-
zeum etnograficznego, wypożyczanym Wystawie,
i przez prawdziwą miłośniczkę, p. Kamińską,
z wielkim gustem rozstawionym. Widzimy
kompletne stroje włościańskie, męczyzn i ko-
biet, z całego prawie Królestwa; wiele wyrobów
tkackich, kilimków, płócien itp. Akwarele typów
włościańskich prof. Gersona tymbardziej uła-
twiają orjentowanie się w tych pięknych, choć,
niestety, w wielu okolicach już zanikających
ubiorach.

Oczywiście, że tam, gdzie jest dr. Tchórzni-
ki, nie może nie być wysunięta na pierwszy plan
ważna sprawa czystości skóry, sprawa łaźni
i kąpeli ludowych. W myśl propagowanego
przez siebie projektu, dr. Tch. wraz z inż. Soka-
lem dał nam na Wystawie okaz łaźni małomia-
steczkowej, bardzo prostej, a jednocześnie zupeł-
nie odpowiadającej celowi. Masa planów, pro-
filów i rysunków wyjaśniają dokładnie budowę
tej łaźni; szkoda jednak, że niema gdzieś
wystawionego kosztorysu. Ileby taka łaźnia ko-
sztowała? — zapytać musi każdy, komu się ona
podoba i na wystawie o tem się nie dowie. Gdyby
jeszcze obok tej łaźni zrobiono jak najprostszą
łaźnię chłopską, taką, o jakiej mówi dr. Tch.
w swojej wyborowej książce: „Dla zdrowia lu-
du, rozumie się, z kosztorysem — mogłoby to
przyczynić się niemało do rozpowszechnienia cho-
ciażby tylko idei podobnych łaźni.

Prócz łaźni parowych, widzimy na wystawie
w paru miejscach budynki z kąpielami natry-
skowymi, lub ich plany i modele. Z ostatnich
bardzo pięknym jest model kąpeli natryskowych
dla robotników fabrycznych, wystawiony przez
p-ra Ciechomskiego.

Być może, iż nie zauważyłem, ale zdaje mi
się, że brak na wystawie jakichkolwiek danych,
odnoszących się do higieny snu, a i tutaj dałyby
się zebrać ciekawe dane o długości snu np.
robotników fabryk, kopalni i zakładów, pra-
cujących na zmianę w dzień i w nocy, snu kon-
duktorów kolejowych itp. Z tą sprawą łączyła-
by się bezpośrednio kwestja oddychania podczas
snu powietrzem zepsutem przy skupieniu dużej
ilości osób, ciasnocie pomieszczenia, sąsiedztwie
stajen, ustępów itp. miejsc. Zdaje nam się, że
prócz urządzeń higienicznych, wystawa powinna
jednocześnie dawać obraz istniejących stosunków,
tembardziej, jeśli są one antyhigienicznymi.

Sprawozdawczy charakter niniejszego artyku-
łu nie pozwala mi zatrzymywać się długo na
wielu kwestjach; parę jednak muszę jeszcze za-
znaczyć.

W oddziale „Wychowawczym” dr. Kosmow-
ski przedstawił bardzo ciekawe tablice, odnoszą-
ce się do wzrostu dzieci, ich wagi, budowy,
skłonności do chorób itp. Z tablic tych przyto-
czymy parę cyfr z pomiarów, dokonanych na dzie-
ciach klas zamożniejszych i uboższych w War-
szawie; dr. K. wykazuje, że:

W wie- ku lat	chłopcy zamożn.	chłopcy biedn.	chłopcy zamożn.	chłopcy biedn.
	m a j a d ł u g o ś c i		w a ż ą	
	centym.	centym.	kilogr.	kilogr.
8	118,3	116,4	23,6	22,4
9	122,5	117,3	25,5	26,6
12	138	130,9	32,6	2,3
15	155,6	150	44,8	36,6

itd.

Tablic podobnych jest kilkanaście, a wszystkie bardzo pracowicie zestawione.

Nie pominęto też warunków pracy zawodowej; pod tym względem bardzo pouczającymi są tablice d r a Rzętkowskiego, wykazujące jakość i ilość chorób, którym podlegają pracownicy kilkudziesięciu zawodów. Dział to nadzwyczaj ważny, przedstawiający jeszcze ogromne pole pracy dla lekarzy fabrycznych, inspekcji fabryk, wynalazców i filantropów. Ciekawy przyczynek do tegoż przedmiotu dał dr. Gepner w postaci preparatów drobnych kawałków żelaza, lub innych ciał obcych, jakie zdarzyło mu się wyjmować z ocz kowali, kotlarzy itp.

Dr. Wysokiński przysłał nader ciekawy zbiór przedmiotów, odnoszących się do samoleczenia i praktyk znachorskich ludu z okolicy Międzyrzecza. Są tam przedewszystkiem „korzenie maciczne”; paznogie, obcięte od „zimnicy”, które zakopują w ziemię; parę drągów osowych do nacierania brzucha „od uroków”; stalowe obrączki, mające zabezpieczać od choroby Św. Walentego. Dalej widzimy szklankę z kawałkiem chleba i wetkniętymi w niego 3-ma zapalkami, „do stawiania na pępku od bonowania macicy”; nitka z miotły „od womit”; woreczek z jakimś zieleń „od złego oka”; pas ze skóry węgorka od goścecia; igłę, którą łamią nad dzieckiem w czasie konwulsji; „wileze gardło” od bólu gardła, pasek antycholeryczny żydowski, mąka na soloduchę itp. Zważywszy, że wszystko to zebrane przez jednego człowieka, widzimy, jakie bogactwo tego rodzaju zbiorów moglibyśmy mieć przy dobrej woli inteligientnych lekarzy z innych okolic kraju.

Obok tych zbiorów wisi kilka tahlic z modlitwami znachorskimi, z których jedną pozwolę sobie przytoczyć:

W imię Ojca -- itd. Zdrowaś Marja -- itd.

Rózo, różico!
Kołtunie kołtunico!
Macico, macico!
Wyleż z głowy w piersi,
Z piersi w bruch,
Z brzucha w kości,
Z kości w gołenie,
Z gołeni w stopy,
Ze stóp w palee,
Z palcy na sto łokci w ziemię.
Nie ja lekarz,
Pan Bóg lekarz!
Ciebie boli, ty wyrzekasz.
Czy pomoże, czy nie pomoże,
Zapłać nieboże!

Ciekawą byłaby również mapa leczenia się ludu u lekarzy, felerów i znachorów, gdyby można było jej dowierzać. Zdaje się jednak, że nie opiera się ona na pewnych danych.

Wreszcie, w sprawie pomocy lekarskiej dla ludu wiele wskazówek mogą dać tablice i mapy szpitali dr. Dobrzyckiego. Widzimy z nich, że na 9.300.000 mieszkańców Królestwa mamy zaledwie 90 szpitali, tj. 1 szpital na 100.000 ludzi. Z tych szpitali 15 znajduje się w Warszawie, 20 w innych miastach gubernjalnych, a 55 w osadach i wsiach. Najlepiej uposażonymi są gub. Lubelska i Piotrkowska — po 10 szpitali; najmniej Płocka (3), Kielecka (3) i Łomżyńska (2).

Z konieczności musieliśmy pominąć z hygieny ludu na Wystawie wiele szczegółów ważnych, mamy jednak nadzieję, że czytelnicy, o ile będą w Warszawie, uzupełnią je sobie sami na placu Wystawy.

K. BYSTRZYCKI.

Z OBCEGO ŚWIATA.

COSMOPOLIS.

(Dokończenie).

Henryk Richard (w dziele p. t. *Recent Progress of International Arbitration*, 1884) wykazuje, że w przerwie pomiędzy 1810 a 1820 rokiem jeden tylko zatarg pomiędzy Anglią a obcym państwem poddany został sąd polubowny; również po jednym wypadku podobnym spotykamy w każdym następnym dziesięcioleciu aż do 1860 r. Między zaś 1870 a 1880 było już 7 wypadków sądów polubownych.

I popularność tego sposobu załatwiania spraw międzynarodowych urosła w ogromnym stopniu w ciągu stulecia. Według traktatu, zawartego pomiędzy Anglią a Stanami Zjednoczonymi w r. 1793, rzeka Ś-go Krzyża zakreślać miała północno-wschodnią granicę tego państwa. Gdy wynikiły następnie pewne wątpliwości przy prowadzeniu tej granicy, została w r. 1794 wyznaczona komisja w celu szczegółowego oznaczenia granicy, indemnizacji obywateli angielskich i innych rzeczy mniejszej wagi.

Wypadek był tak niezwykły, że narzucenie podobnej komisji wydało się Amerykanom ubliżeniem ich honorowi narodowemu (do czego przyczynił się zuchwały ton angielskiego reprezentanta Mac-Donalda). Skutku zamierzonego nie osiągnięto. Ale w r. 1814 w traktacie, zawartym w Gencie, obie strony zawarowały sobie, aby możliwe nieporozumienia z niego wynikające podane zostały sądowi polubownemu. Jakoż gdy w szczegółach, dotyczących granicy po rzece Ś-go Wawrzyńca, obie strony nie mogły przyjść do zgody, obrano na sędziego króla Belgji. Wprawdzie wyrok jego, jako niezgodnego z zasadami samej umowy, nie przyjęły obie strony; wszakże sprawę załatwiono drogą zwykłej umowy.

Od tego czasu coraz częściej udawano się do sądu polubownego w wypadkach mniejszej wagi. Pomiędzy rokiem 1843 a 1867 załatwiono w ten

sposób około 12 spraw; niektóre z nich ciągnęły się już od początku stulecia.

Do godności wszakże instytucji powszechnie uznanej podniosła sądy polubowne t. zw. kwestja Alabamy¹⁾. Sąd, złożony z przedstawicieli rozmaitych państw (hr. Sclopis, prezes, reprezentował Włochy; Staempfli—Szwajcarję; baron Itajuba—Brazylję; Karol Adam Stany Zjednoczone Ameryki; Alexander Cockbran Brytania) zgromadził się w Gienewie w grudniu 1871 r.; decyzję swoją ogłosił 14 września 1872 w ratuszu z wielką uroczystością, wśród strzałów armatnich. Odrzucając żądanie Stanów Zjednoczonych wynagrodzenia za szkody pośrednie, przyznał indemnizację za szkody bezpośrednie w sumie 15½ miljonów dolarów.

„Ten akt pamiątkowy, powiada autor, który przyczynił się do sławy i wpływu obu państw zainteresowanych, a zasłużył na wdzięczność wszystkich ludzi myślących, rozpoczął nową erę nie tylko w prawie międzynarodowym, ale i w stosunkach między ludami na kuli ziemskiej. Zaznacza on nowe stadium w rozwoju cywilizacji; jestto pierwszy przykład, w którym trybunał, złożony z osób prywatnych, zasiadających jako sędziowie i kierujących się ustalonymi zasadami, zastosowywał zwykły proceder spraw cywilnych do rozstrzygnięcia wielkich sporów międzynarodowych.“

Powodzenie tej sprawy uważano za pierwszy krok ku założeniu stałego trybunału międzynarodowego. „Wielkie ideały, chociażby były nieco mgliste i fantastyczne, przyczyniają się wszakże do wpojenia ogółowi pragnienia lepszego stanu rzeczy; a rozważanie tego, co zostaje zawsze jeszcze teorią, przyzwyczajają umysł do myśli o możliwości prób praktycznych. Powszechnie zastosowanie zasady sądów polubownych przestano uważać za marzenie utopijne.“

Zastosowanie wszakże napotykało na poważne trudności.

Pierwszą z nich był brak ustalonego kodeksu międzynarodowego. Wprawdzie istniało kilka pewników powszechnie uznanych, z których nietrud-

no byłoby wysnuć cały zastęp praw. Jakoż pierwsza próba w tym kierunku powstała znowuż z powodu tej samej wojny federalnej w Stanach Zjednoczonych. Prezydent Linkoln, pragnąc zredukować do minimum okrucieństwa wojny, polecił profesorowi Lieberowi ułożenie kodeksu, dotyczącego praw i obowiązków wojsk, będących w polu.

Zatargi międzynarodowe, które wynikły z tej wojny, pobudziły Towarzystwo Nauk Społecznych do wytworzenia komitetu (we wrześniu 1866) dla kodyfikacji prawa międzynarodowego. Pracy tej podjął się D. Dudley-Field; dzieło jego wydane zostało w r. 1872 p. t. *Draft Outlines of an International Code* (Nowy-Jork). W tym samym czasie wydał Bluntschli swój *Kodeks prawa międzynarodowego* (po niemiecku), wzorowe dzieło w tym przedmiocie.

Ale główną i dotychczas nieprzezwyciężoną trudność stanowi kwestja nadania siły obowiązującej wyrokom sądu polubownego. Niema dotąd innego środka przymuszenia narodu, któryby nie zgodził się na przyjęcie wyroku, wydanego przez dobrowolnie uznany sąd polubowny, prócz siły zbrojnej; zastosowanie zaś jej w takim wypadku pociągnęłoby za sobą najmniej sprawiedliwe kombinacje pod pretekstem dobra powszechnego. Dopóki główna ta trudność nie zostanie usunięta, zwolennicy zasady „arbitrażu“ zadowalają się coraz częściej jej zastosowaniem do wypadków szczegółowych i pokładają nadzieję na stopniową oświatę świadomości ogólnej i przewagę dążeń pokojowych pomiędzy narodami.

Praktycznym objawem tego sposobu myślenia jest coraz to zwiększająca się liczba stowarzyszeń, mających na celu propagandę arbitrażu międzynarodowego. Najważniejszym z nich jest *l'Institut de Droit International*, założony w Genewie 1873 r.

I w tym kierunku zresztą pierwsze kroki uczyniła Ameryka. Jeszcze w r. 1835 złożone były w izbach wielu Stanów adresy, żądające sądów polubownych. W r. 1851 przyjęte zostało podobne postanowienie przez senat. We dwa lata później, na propozycję Underwooda, zalecono prezydentowi stanów, aby w przyszłych traktatach umieszczony był punkt, orzekający iż wynikające przy ich zastosowaniu nieporozumienia mają być rozstrzygane drogą polubowną. W r. 1873 senator Summer wniósł, aby podobnie postępowanie obowiązywało prezydenta w jego stosunkach z państwami zagranicznymi; a w następnym roku Woodford żądał, aby rząd Stanów drogą traktatu ustanowił stały sąd polubowny.

Podobnie kroki peephione były i w Anglii, a inicyjatywę podjął szlachetny Ryszard Cobden. Pierwszy wniosek jego w tym kierunku, uczyniony 12 czerwca 1849 r., został odrzucony przez 176 głosów przeciwko 97. Następne próby nie powiodły się lepiej. Dopiero w r. 1873, korzystając z pomyślnego wrażenia świeżo załatwionej sprawy z Ameryką, Henryk Richard zdołał po długiej dyskusji przeprowadzić wniosek na korzyść sądów polubownych, a w lipcu 1887 markiz Bystolski zaproponował w izbie lordów

¹⁾ Nazwa ta nie pochodzi od stanu Alabamy, ale od okrętu „Alabama“, zbudowanego przez Anglię dla popierania kontrabandy wojenną Stanów południowych podczas wojny o wyzwolenie negrów. Przeciwnie budowie tej kanonjerki wniósł protest poseł amerykański (reprezentujący Stany północne). Nie zważając wszakże na to „Alabama“ wraz z innymi statkami dowoziła broń i amunicję stanom buntowniczym, dopóki nie została zatopiona (w r. 1864) przez korwetę amerykańską pod Cherbourgim. Po skończeniu wojny, Stany Zjednoczone wystosowały do rządu angielskiego żądanie o indemnizację. W 1868 stanął układ o wezwaniu sądu polubownego; Anglię wszakże zwlekali dopóty, aż prezydent Grant korzystając z kłopotów Anglii i przynębiającego wrażenia wojny francusko-pruskiej, wystosował w styczniu 1871 r. groźne żądanie. Rozstrzygnięcie polubowne tej sprawy, obok kilku innych procesów międzynarodowych, toczonych jednocześnie przez Stany Zjednoczone z Meksykiem, Hiszpanją itd., wywołało wielki entuzjazm wśród wykształconego ogółu, zostającego pod świeżym wrażeniem okrucieństw wojny. Wyrazem tego jest dziełko E. Lavelaya: *Des causes actuelles de guerre en Europe*, 1873. W art. 6 tego traktatu ustalono w trzech punktach ogólnych obowiązki mocarstwa neutralnego względem stron wojujących, co stanowi ważny krok w kodyfikacji prawa międzynarodowego. Wyrok zapadł większością 4-ech głosów przeciw jednemu (angielskiemu).

założenie stałego trybunału dla tych spraw, lecz zmuszony został cofnąć swój wniosek.

Usiłowania te nie pozostały bez następstw. W październiku 1887 r. deputacja, złożona z 10 członków parlamentu angielskiego i 3 przedstawicieli kongresu Związku Pracy (*Trade Union*), złożyła prezydentowi i Kongresowi ¹⁾ Stanów Zjednoczonych adres podpisany przez 234 posłów izby gmin i wyrażający najwyższe zadowolenie z powodu wniosku w Kongresie, aby prezydent Stanów zawarł z Brytanią traktat, na skutek którego wszystkie zatargi mają być załatwiane drogą polubowną. Prezydent Cleveland odesłał adres do Komitetu Spraw Zagranicznych, a w lutym 1890 r. obie izby Kongresu przyjęły jednogłośnie postanowienie, upoważniające prezydenta do rozpoczęcia w tym kierunku pertraktacji ze wszystkimi obcymi rządami. „Tak więc, odpowiedź Stanów Zjednoczonych była szerszą, niż propozycja.“

W tym samym prawie czasie wskutek postanowienia (4-go kwietnia 1890 r.) 10 republikanów amerykańskich (z ośmiunastu) podpisało traktat o załatwianiu sposobem sądu polubownego nieporozumień, mogących powstać między nimi; artykuł 4-ty traktatu pozostawia swobodę niepoddawania sądowi tych spraw, które według uznania państw tych mogą narazić ich niezależność.

Rozesłanie depechy, oznajmiającej o tem postanowieniu wszystkim państwom europejskim, było niejako zaproszeniem do naśladowania. W r. 1893 Cremer poruszył tę kwestję w izbie Gmin w Anglii; po przemówieniu Gladstone'a przyjęty był następujący tekst odpowiedzi:

„Izba Gmin z zadowoleniem przyjęła wiadomość o tem, że obie Izby Kongresu Stanów Zjednoczonych upoważniły Prezydenta do rozpoczęcia od czasu do czasu pertraktacji z rządami, z którymi Stany Zjednoczone mają lub mogą mieć stosunki dyplomatyczne, w tym celu, aby zatargi, powstające między obu rządami, a nie mogące być załatwione drogą dyplomatyczną, odesłane zostały do sądów polubownych i przez nie zgodnie zakończone; Izba Gmin serdecznie sympatyzuje z tym zamiarem i ma nadzieję, iż Rząd Jej Królewskiej Mości chętnie współdziałać będzie z Rządem Stanów Zjednoczonych na podstawach przyjętego postanowienia.“

Ruch rozpoczęty na tem polu spowodował utworzenie *Stałego komitetu parlamentarnego w sprawie arbitrażu i pokoju*. Pierwszy zjazd miał miejsce w Paryżu r. 1889. Członkami jego byli posłowie izb (przeważnie francuskiej i angielskiej) w liczbie ok. 40. Na powtórny zjazd w Londynie liczba ta znacznie urosła, a gdy nastąpił trzeci zjazd w Rzymie (1891), liczba członków wynosiła 1400.

Wpływu tej agitacji nie powinniśmy przeceniać, nie możemy wszakże jej postpowywać. Od r. 1872 ok. 40 zatargów międzypaństwowych załatwiono na drodze pokojowej; zatargi te miały

najrozmaitsze powody, zaczynając od sporów o terytorja i granice, a kończąc na kwestiach indemnizacji i marynarki. Wyrobiły się przytem dwa rodzaje postępowania: pierwszy polega na tem, że obie strony przystają na jednego sędziego, lub na trybunał, wybrany w tym celu; drugi — na poddaniu sprawy pod sąd, złożony z delegatów obu państw. Największa część wypadków dotknęła sporów pomiędzy państwami amerykańskimi lub pomiędzy nimi a europejskimi. Stany Zjednoczone oddały pod sąd taki 10 zatargów; Anglja 8.

Jakkolwiek nie wszystkie zatargi są tego rodzaju, aby dziś możliwem było ich załatwienie na drodze pokojowej, to jednak godne są zastanowienia się sądy w tym przedmiocie kilku doświadczeń, a wybitnych mężów stanu.

Generał Grant mówił:

„Chociaż wychowałem się na żołnierza i brałem udział w wielu bitwach, nie było, mojem zdaniem, nigdy takich okoliczności, w którychby nie można było znaleźć drogi do pokojowego załatwienia sprawy.“

Na długo przed tem wygłosił John Russel takie zdanie:

„Rozważając wojny, które stoczono w ciągu ostatniego stulecia i badając ich przyczyny, nie widzę ani jednej, w której, przy należytem umiarkowaniu z obu stron, kwestja sporna nie dałaby się załatwić bez odwoływania się do broni.“

Lord Derby, człowiek najmniej skłonny do uniesień utopijnych, jeszcze wcześniej wygłosił myśl, którą do dziś uważają za nieurzeczywistnioną, gdy referując o zatargu z Hiszpanją rzekł.

„Na nieszczęście niema trybunału międzynarodowego, do którego by można odsyłać sprawy podobne i niema prawa międzynarodowego dla rozstrzygnięcia podobnych wypadków. Gdyby istniał taki trybunał, było by to wielkiem dobrodziejstwem dla świata ucywilizowanego.“

Gladston zaś w mowie, wygłoszonej z wyżej przytoczonych powodów, powiedział.

„Chociaż traktat o sędzię polubownym jest nowością, rzeczą, o której dziko byłoby śnić w poprzednich czasach, przyznam się, że nie uważam, iżby utworzenie w niedalekiej przyszłości przy sprzyjających okolicznościach podobnego traktatu między tym krajem a Stanami Zjednoczonymi wykaczało poza zakres rozsądnych przewidywań.“

„Jeden warunek, — dodaje Gennadjus, — a zdaje się, że mówiąc to ma głównie na względzie swoich współziomków — niezbędny jest: propozycje o arbitrażu powinno być wygłoszone w formie chociażby stanowczej, lecz przyjaznej i pojednawczej. Ten wyzywający może wytworzyć kwestję honoru międzynarodowego i przez to samo wykluczyć możliwość arbitrażu.“

List Juliusza Simona mniej wznosi się ponad rzeczywistość; ma on myśl utkwioną w jeden punkt — przyszłą wojnę, o której mówi, że „nigdy nie była tak prawdopodobną i tak niemożliwą zarazem, jak dziś.“

„Nie jesteście ani Anglikami, ani Francuzami, ani Niemcami. powiada — zwracając się do redakcji;

¹⁾ Przypominamy, że tak się nazywają obie izby ciała prawodawczego całego związku.

jesteście wszystkiem tem odrazu. Niema narodowości, której interesa nie byłyby wam drogie. Nie chcecie panowania żadnej, bo pragniecie rozwoju wszystkich. Gdy wojna zostanie ogłoszona, nie nie pozostanie, jak tylko zabijać się nawzajem aż do zupełnej eksterminacji. Dziś przyjaciele pokoju mają przymierzeńców we wszystkich tych, którzy się boją wojny, a imię takich jest legjon. Wszelki kongres pokojowy będzie miał za sobą entuzjazm tłumu. Każdy władca, czy to będzie król, czy lud, który podejmie się inicjatywy pojednawczej, zyska sławę wśród współczesnych i w dziejach."

WŁ. M. KOZŁOWSKI.

Przegląd polityczny.

Dotychczasowe postępowanie rządu angielskiego w stosunku do Izby Gmin zakrawało nieraz na lekceważenie tejże. I nie dziw. Rząd, oparty na karnej większości zgórą 140 głosów, mógł sobie na takie lekceważenie pozwolić. Teraz jednak rozmaite znaki na niebie i ziemi zdają się wskazywać, że popsulo się coś w królestwie niepodzielnego panowania torysów. Kilka ostatnich wyborów uzupełniających, pomimo żarliwej agitacji, wypadło na korzyść opozycji. Jest to nieomylny dowód zniżki akcji unjonistowskich wśród wyborców. Wobec olbrzymiej większości, jaką rząd rozporządza, jest to fraszka, ale i ona ma swoje znaczenie. Powodem tej zmiany uczuć ludu dla gabinetu, który reprezentuje nad wszystkie popularne hasło „greater Britain”, są niezawodnie pewne pozorne niepowodzenia w polityce zagranicznej, a przede wszystkim ukrywanie projektów w niezwyklej tajemnicy, czego Anglicy nie lubią. Nie słyszeli oni ani jednej jasnej odpowiedzi na interpelacje w Izbie Gmin. Może przyczynia się do tego i fakt, że Anglja nie posiada obecnie osobnego ministra spraw zagranicznych, pierwszy minister bowiem dzierży jego tekę, a podsekretarz Curzon może niewiele wie o daleko sięgających planach swego dostojnego zwierzchnika. Ale i ten nareszcie przerwał uciążliwe milczenie. Uczynił to naturalnie w Izbie Lordów w odpowiedzi na interpelację swego poprzednika, a mowa jego odsłoniła rąbek tajemnicy, pokrywającej sudańską wyprawę. Dowiadujemy się, że była ona już dawno przygotowana; jako konsekwencja leżała ona potencjalnie w całej polityce angielskiej w Egipcie. Pobudką zewnętrzną, która nadała jej postać czynu, było zagrożenie Kassali przez derwiszów, co zdaje się wskazywać pewnego rodzaju umowę z Włochami (lord Salisbury mówił tylko o przyjaźni). Celem wyprawy jest tymczasem Dongola, a następnie Khartum. Skoro pełnemi żaglami wpływaliśmy już na morze polityki sudańskiej, zanotujemy sensacyjną pogłoskę „Figara”, jakoby rząd niemiecki pogodził się już z wyprawą do Sudanu wzajemian za ustępstwa, poczynione mu przez rząd angielski w zatoce Wielorybkiej w Afryce.

Za koncesję na rzecz opozycji można też uważać cofnięcie przez rząd bilu Garsta o reformie szkolnej, o którym pisaliśmy w swoim czasie, a który spotkał się z nieprzewidywanym wstrętem całego liberalnego, a nawet i lewego skrzydła stronnictwa

rządowego. Opozycja uprawia wytrwale obstrukcjonizm, tę metodę par excellence angielską i doprowadziła ją do tego, że Balfour, leader (kierownik) Izby Gmin, zagroził dymisją w razie, jeżeli Izba nie zmieni regulaminu. Nie pozwala on mianowicie na przedłużanie posiedzeń poza północ. Istotnie dotychczasowe rezultaty obecnej sesji prawodawczej są tak nikłe, że przyspieszenie obrad staje się koniecznem.

Rząd Transwaalu w drodze urzędowej kategorycznie zażądał, aby proces Jamesona został przyspieszony, aby Rhodes wraz z innemi kierownikami kompanji południowo-afrykańskiej został oddany pod sąd i aby terytorja, wydzierżawione tejże kompanji, zostały objęte w administrację przez rząd angielski. Ostatnie depeze donoszą, że na Rhodesa niebawem zostanie złożony osobny sąd.

Jeżeli gabinet Meline'a marzył kiedykolwiek o zbudowaniu złotego mostu zgody z klerykalizmem francuskim, to postępowanie tegoż i nacisk samych stronników gabinetu niebawem rozwiąły te złudzenia. Jeszcze dla znacznej większości polityków francuskich najpopularniejszem hasłem jest znany okrzyk Gambetty: „le cléricalisme, voilà l'ennemi.” Sprawa procesji Bożego Ciała, rozdęta do niebывałych rozmiarów, stała się kamieniem obrazy. Rząd zmuszony został pociągnąć do odpowiedzialności arcybiskupa Cambrai i wstrzymać pensje proboszczom, którzy dali inicjatywę procesjom. Pod względem etycznym rozporządzenie to nie wytrzymuje najmniejszej krytyki, ale pod względem formalnie-prawnym jest ono zupełnie słusznem. Nie pierwszy to raz zresztą prawo sprzeciwia się etyce.

Izba deputowanych przyjęła jeden paragraf ustawy, opiewający, że „wyspa Madagaskar przyłączoną zostaje do Francji”. Przy tej sposobności minister Hanotaux przyznał się do zmiany zdania, tłumacząc, że nota Berthelota do mocarstw ościennych zgóry przesądziła już sytuację. Zaledwie Francja weszła tedy w posiadanie nowej kolonii, rozpoczęły się już kłopoty, co mimowoli przypomina znane przysłowie o babie. Nowym tym kłopotem jest niewolnictwo, które wywołało w Izbie akademicką dyskusję. Francja w kolonjach swoich nie uznaje niewolnictwa; na Madagaskarze jest 500 tys. niewolników; nagle usamowolnienie wszystkich przekształciłoby cały ustrój ekonomiczny tamtejszego społeczeństwa i mogłoby wywołać groźną rewolucję; — jakżeż wyjść z tego dylematu? Znalezione wyjście, uchwalając teoretyczne usamowolnienie niewolników i polecając rządowi stopniowe wprowadzanie go w czyn; dzieci niewolników, urodzone po 1 Października r. z., będą uznane za wolne.

De Lannessan, były wicekról Indo-Chin doradza rządowi, aby w administracji wyspy nie opierał się na Howasach, które to plemię jest znienawidzone przez inne, uważające najazd francuski za pożądane oswobodzenie ich z niewoli howańskiej. Uważa on również za niepolityczne w wysokim stopniu lekceważenie miejscowej religii opartej na fetyszyzmie i wprowadzanie gwałtem chrystjanizmu. Taka też to i francuska logika: u siebie rząd zabrania procesji na zewnątrz kościoła, a na Madagaskarze wbrew woli ludu fetysze zamienia na krzyże.

Ta zasada długo jednak da jeszcze na siebie

czekać w polityce. Świeży dowód tego mamy w Niemczech w sprawie zniesienia banicji jezuitów. Jak wiadomo, parlament dawno już zniesienie to uchwalił, ale Rada Związkowa nie uznała za stosowne zatwierdzić tej uchwały. W ten sposób kanclerz Hohenlohe odpowiedział na interpelację stronnictwa centrum, którego wojowniczy zapal ostrył znacznie; stronnictwo to w ostatniej chwili cofnęło się ze swego stanowiska i nie stawia już zniesienia banicji jako warunek głosowania za kodeksem cywilnym. Nad tym kodeksem obrady postępują zwawo, pomimo olbrzymiej ilości, bo 2000 artykułów. To też rząd ma nadzieję, że zostanie on uchwalony do końca sesji, tj. do d. 27 b. m. Stronnictwa opozycyjne niechętnie patrzą okiem na ten pośpiech i mają słuszną, ale zostały przegłosowane, kiedy chodziło o odroczenie obrad nad kodeksem do jesieni. W każdym razie radość byłaby przedwczesną, bo kwestja ślubów cywilnych niezawodnie wywoła ożywioną dyskusję i może stanąć wprost przeciwko usiłowaniu najszybszego zepchnięcia kodeksu z porządku dziennego.

Rząd pruski nagrodił orderem niefortunnego mówcę w Moskwie. I to zostało zrobione wtedy, gdy rząd bawarski dla świętej zgody powstrzymuje manifestacje na cześć ks. Ludwika i trzyma go zdala od kraju, aby uniknąć ambarasujących owacji. Po tym postępku rządu pruskiego popularność ks. Ludwika, niezmierna już zaraz po jego odezwaniu się w Moskwie, wzrosła teraz jeszcze do niebywałych rozmiarów.

Drugi człowiek, który nie może się skarżyć na brak popularności i brak sławy w dziennikach—to dr. Lueger, wiceburmistrz Wiednia. Osoba jego, a raczej odezwanie się o wystawie pieszczęńskiej było przedmiotem interpelacji w Izbie węgierskiej. Przes ministrów Banffy odpowiedział, że jest on niegodnym, aby się nim Węgrzy zajmowali, a rząd ma dość siły, aby poskromić jego agentów i anty-węgierskie pamflety.

zwl.

Z RÓŻNYCH STRON.

Z zagranicy.

Kraków (kor. „Głosu”). Przez cztery dni z rzędu bawili się w mieście naszym „panowie”. Tegoroczne wyścigi doznały szczególnie wielkiego splendoru, umyślnie bowiem na kilka godzin pierwszego dnia przyjechał na nie z Wiednia prezydent ministrów, Kazimierz hr. Badeni, który tem samem dowiódł, że rząd naprawdę „sprzyja krajowi”. Śmietanka naszego „towarzystwa” na wiadomość o przybyciu Ekscelencji stawiała się w komplecie. Premier austriacki zwracał na się nieminiejszą zapewne uwagę, co konie wyścigowe. Ci, którzy go mieli szczęście oglądać—nie należałem niestety do tych wybrańców losu—twierdzą, że hr. Kazimierz uśmiechnięty, jak zwykle, nie zmienił się w niczem, utył nawet trochę (jeszcze mu mało!), szczerstwiał i—„wyszlachetniał”. Na drugi dzień już go w Krakowie nie było, wyścigi jednak odbyły się mimo to ściśle podług ułożonego programu, a że wbrew pesymistycznym twierdzeniom, przynoszą one rzeczy-

wicie olbrzymią korzyść krajowi i do podniesienia hodowli koni krajowych przyczyniają się wielce, świadczą o tem następujące szczegóły. Wszystkie prawie bez wyjątku nagrody, których ogólna wartość dosięga cyfry 100.000 złr., zabrały stajnie zagraniczne, przeważnie austriackie i węgierskie. Do głównej nagrody, wynoszącej 20.000 złr. „mianowanych”, czyli zapisanych było koni 36, stanęły do biegu tylko trzy, same obce. Galicyjskie stajnie reprezentował właściwie tylko jeden hr. Tarnowski. Dodać wypada, że t. zw. „klub jazdy panów” odbył podczas wyścigów doroczne swe walne zgromadzenie, na którym obrady poufne (bano się bowiem światła dziennego) toczyły się w języku niemieckim. Totalizator za to święcił niebywałe tryumfy w tym roku. Jak śmy do światła, tak się do „splukania” garnęły roje całe ludzi, hazardową goączką podnieconych. Ze względów pedagogicznych zapewne pozwolono także szkolnej młodzieży brać czynny udział w „zabawie”. Faktem jest, że niedorostki w mundurkach grały w totalizatora co najmniej z takim samym zapalem i znajomością rzeczy, jak w guziki dawniej. Teraz już nikt chyba o zbawienym wpływie wyścigów i totalizatora wątpić nie będzie. — Dziwnym trafem zeszły się tym razem wyścigi z dorocznym zgromadzeniem Krakowskiego Towarzystwa rolniczego, na którym od początku prawie do końca rozlegały się stereotypowe narzekania i żale na temat przesilenia rolniczego i blyszczącej gędy t. zw. właścicieli ziemskich. Towarzystwo Rolnicze, które pod względem politycznym uważa się ciągle jeszcze za pierwszorzędną powagę konserwatywną w kraju, faktycznie dziś już żadnego w tym kierunku wpływu nie wywiera, a ograniczone działalnością wyłącznie ekonomiczną, gdyby nie wydatna pomoc funduszów państwowych i krajowych, dawnoby już istnieć przestało. Z nader jałowego przebiegu zgromadzenia podnieść jeden tylko szczegół wypada, odnoszący się do hodowli czysto krajowej rasy czerwonego bydła bez przymieszki obecnej krwi. Usiłowania na tem polu od kilku lat czynione nie pozostawiały bez skutku. Istnieje już w Galicji zachodniej jedenaście obór czerwonego bydła rasy krajowej, odtworzonej ze swojskiego lekceważonego do niedawna materiału. Fachowcy twierdzą, że te czerwone bydło krajowe ma świetną przyszłość przed sobą, co do mleczności bowiem i wagi dorównywa rasom zagranicznym, a pod względem odporności na warunki i zmiany klimatyczne przewyższa je nawet skutecznie. Hodowla więc racjonalna i umiętna może się stać nie tylko popłatną i zyskowną dla jednostek, ale i dla kraju mieć głębsze znaczenie. Uchwalono również starać się u rządu o fundusze na założenie rolniczej stacji doświadczalnej w Krakowie, a „jednomyslnie” przyjęto wnioski o zjednywanie dla Tow. rolniczego wszelkimi możliwymi sposobami włościan. Pod tą niewinną formą kryje się myśl, starannie dotąd osłaniana, połączenia tą drogą pozbawionego wszelkich sił żywotnych Towarzystwa z kółkami rolniczymi chłopskimi, których szybki rozwój nawet „dobrze urodzonym” zaimponował. Czy jednak do *pium desiderium* urzeczywistni się kiedy, wątpić można, znając nieźle praktyczny zmysł i dobrą pamięć chłopca galicyjskiego, który wie, że gdyby nie bieda,

toby się panowie do niego z tak czułymi afektami nie zwracali. — Krakowskie Koło artystyczno-literackie postanowiło złąć się w jedno Towarzystwo z młodszym, a wielce ruchliwym „Związkiem” literackim; połączenie to wyjdzie, zdaje się, na dobre obu instytucjom.

Zawisza.

Lwów (kor. „Głosu”). Główny zarząd Tow. Kółek rolniczych wydał obecnie sprawozdanie za r. 1895. Ogółem jest obecnie w Galicji 1081 kółek rolniczych. W r. 1895 powstało nowych kółek 83 rozsiąanych w 44 powiatach kraju. Członków liczą kółka ogółem 51.223. Torują drogę do rozwoju instytucji sprawy organizacyjne, w ostatnim roku podjęte, mianowicie: wprowadzenie w życie i zorganizowanie związku handlowego dla kółek rolniczych i sklepów wiejskich we Lwowie, który ze składów własnych i komisowych jest w możności zaopatrywania swych odbiorców we wszelkie towary kolonialne i korzenne, w wina i napoje wysokowe, w cukier, ryż, mąkę i inne artykuły spożywcze, w wyroby powroźnicze i szczerkarskie, w przybory szkolne, towary żelazne i różne artykuły drobiazgowce; dalej otwarcie praktycznych kursów handlowych dla sklepikarzy kółek rolniczych, które odbywają się w Czernichowie przy tamtejszej średniej szkole rolniczej, wreszcie dokonana przez kółka rolnicze organizacja nowych spółkowych kas oszczędności i pożyczek. Ważne znaczenie dla rozwoju Tow. ma także rewizja wydanej dla lustratorów kółek rolniczych instrukcji oraz zgodnie z wnioskami wybranej w tym celu komisji przeprowadzona zmiana, na zasadzie której, poczynawszy od r. 1896, posady lustratorów nadawane będą w drodze konkursu najodpowiedniejszym kandydatom, którzy udowodnią swoje teoretyczne i praktyczne wykształcenie w zawodzie rolniczym. Postanowiono również, że lustracje gospodarstw włościańskich będą przeprowadzane w porze wiosennej i jesiennej w powiatach, przez zarząd główny oznaczonych, oraz że lustratorowie mają zwracać szczególniejszą uwagę na właściwości gospodarstw w zwiedzonych miejscowościach, aby do nich stosować swe rady, mają mieć ze sobą książki treści gospodarskiej i udzielać ich przy lustracji z odpowiedniami własnymi wskazówkami, na koniec obowiązani są wobec Zarządu głównego do bardzo ścisłych sprawozdań. Jak co roku, tak i w r. 1895 dochodził Zarząd główny kółkom doborowego nasienia zbóż, nasion pastewnych i ogrodowych, a właściwie starał się, aby je kółka mogły otrzymywać z pewnego źródła i po cenach przystępnych. Za pośrednictwem Zarządu głównego sprowadziły kółka w z. 1895 lnu inflackiego za 1849 złr. 50 ct., nasion pastewnych zbożow. i ogrod. za 9743 złr. 68 ct. W czasie 14, letniej działalności Tow. sprowadzono nasion za 110.244 złr. a narzędzi i maszyn rolniczych (bo i tem się Zarząd główny zajmuje) za 25.921 złr. Na kongresie rolniczym w Wiedniu odbytym w pierwszych dniach marca r. b. zastępował tow. dr. J. K. Steczkowski, gdzie bronił zasady wolnego stowarzyszania się rolników w kółkach przeciw projektowanej przez rząd przymusowej organizacji. — W uniwersytecie i szkole politechnicznej tutejszej odbyły się już wybory rektorów na rok szkolny 1896/7. W uniw. wybrano prof. teologii unickiego księdza Komarnickiego, rektorem

politechniki został prof. Kazarski. — Prof. nadzwyczajnym estetyki w uniw. został dotychczasowy docent Wojciech hr. Dzieduszycki. Nominacja ta napędzi tylko pewną ilość grosiwa do kieszeni pana profesora (który obdłużył mocno majątek rodzinny), ale słuchaczom pożytku nie przyniesie, gdyż hr. Dzieduszycki, jako poseł do Rady państwa, większą część roku przepędza w Wiedniu. Mamy już tu trzech takich profesorów, którzy pobierają płace, a nie wykładają; teraz przybywa czwarty.

J. A. S.

KRONIKA POWSZECHNA.

Projekty i rozporządzenia rządowe. *Petersb. wied.* donoszą, że ministerjum finansów odrzuciło podania 20 miast gubernjalnych w kwestji opodatkowania na rzecz tychże miast towarów przywozowych i wywozowych. — *Petersb. wied.* donoszą, że prowadzenie spraw, dotyczących kwaterunku wojskowego w gubernjach Królestwa Polskiego zostało powierzone departamentowi skarbu państwa. — *Nowosti* donoszą, iż ministerjum finansów rozstrzygnęło kwestję dopuszczenia małoletnich w ustanowionym wieku do robót w fabrykach zapalek w charakterze robotników, sortujących zapalaki szwedzkie, z warunkiem, aby małoletni ci pracowali w lokalu, zupełnie zabezpieczonym od szkodliwych wyziewów i aby używani byli jedynie do sortowania gotowych zapalek. — *Petersb. wied.* donoszą, iż projekt nowego podatku handlowo-przemysłowego rozestany został do opinji władz i ministerjów, do rady zaś państwa wniesiony będzie w październiku lub listopadzie.

Kronika społeczna. Postanowiono urządzić w czerwcu roku 1897-go na placu Łukiskim w Wilnie wystawę rolniczą i przemysłu domowego. Wystawa obejmie gubernje: wileńską, kowieńską, grodzieńską, mińską, witebską i mohylewską. — Odbyło się posiedzenie członków kasy zaliczkowo-wkładowej urzędników Banku państwa przy udziale 120 osób. Z odczytanego sprawozdania wynika, że w r. z. kasa miała zysku 3.656 r. Wnioski obowiązkowe uczestników wyniosły w r. z. 61,759 rs. — Komitet zarządzający kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym im Mianowskiego ogłosił sprawozdanie ze swych czynności. Widzimy z niego, że Kasa liczyła w r. z. 83 członków założycieli, 128 członków honorowych i 576 członków rzeczywistych. Na cele kasy komitet wydał w r. z. około 9.000 rs. Komitet zarządzający kasą składają pp.: prezes Antoni Okolski, wiceprezes Piotr Chmielowski, kasjer Karol Deike, sekretarz Bronisław Libicki; członkowie: Ignacy Baranowski, Konrad Dobrzycki, Mściśław Godlewski, Tadeusz Korzon, Zygmunt Kramsztyk, Ad. An. Kryński, Antoni Ślusarski i Kucharzewski. — Kapituła płocka mianowała administratorem djecezji płockiej ks. Henryka Kossowskiego sufragana djecezji kujawsko-kaliskiej. — Na posiedzeniu Towarzystwa ogrodniczego z d. 19 b. m. postanowiono urządzić w listopadzie wystawę złocieni; odczytano program 18-tu konkursów, z których 10 poświęcono kwiatom, a 8 warzywom i owocom ziarnkowym. — Zebrania sekcji cukrowniczej W. o. T. p. p. i h. odbyły się w d. 19 i 20

b. m. Po odczytaniu sprawozdania z działalności sekcji za ubiegłe trzecie, rozpoczęły się referaty. P. Zagłębny mówił o działaniu węgla kostnego, p. Lutosławski o stosowaniu prądów zmiennych, p. Puciata o paleniskach bezdymnych, p. Rurkowski o stowarzyszeniach cukrowniczych zagranicą, p. Suchecki o stosowaniu mieszanek Hucha, wreszcie zajmowano się rezultatami ubiegłej kampanji.

Szkoły i oświata. Ogłoszone zostało rozporządzenie, dotyczące wykształcenia handlowego. Zakłady naukowe handlowe, mają być utrzymywane kosztem ogólnym. Dzieli się one na klasy handlowe i kursy umiejętności handlowych. Szkołami zarządzają rady. Do klas handlowych przyjmowani są uczniowie bez względu na wiek, nawet nie umiejący czytać i pisać. Mogą także być otwierane kursy dla kobiet. — Na posiedzeniu wydziału prawnego warszawskiego uniwersytetu najwyższą nagrodę, medal złoty, przyznano studentowi 4-go kursu tegoż fakultetu, p. Kazimierzowi Mszczyn-Kierskiemu, za rozprawę, napisaną z dziedziny prawa karnego, p. t. „Odpowiedzialności karnej małoletnich.” — Ogłoszone zostały rozporządzenia: o otwarciu w lipcu wyższej uzupełniającej klasy przy szkole realnej kaliskiej, o obowiązkowej nauce kaligrafji w szkołach miejskich. — Według informacji *Petersb. wiad.* w Petersburgu ma być zwołany zjazd nauczycieli rzemiosł w szkołach elementarnych. — Wprowadzenie medycyny, jako przedmiotu wykładowego, do seminarjów duchownych ma już nastąpić z początkiem roku szkolnego. — *Zbiór praw* zamieszcza następujące rozporządzenie: „Nauczyciele szkół miejskich, otwartych na mocy ustawy z dnia 31-go maja 1832 r., którzy nie ukończyli wykształcenia w wyższych zakładach naukowych i którzy podali się do dymisji, mają prawo otrzymać świadectwo nauczyciela domowego bez składania egzaminu.”

Drogi żelazne i komunikacje. W *Poczt. telegr. żurn.* wydrukowane zostało rozporządzenie naczelnika zarządu poczt i telegrafów, w którym zalecono władzy okręgowej, aby „w razie pojawienia się w miejscowych organach prasy artykułów i notatek, dotyczących działalności podwładnych mu instytucji telegraficzno pocztowych i wogółę dotyczących się jego sfery zawiadywania, naczelnicy okręgów niezwłocznie nadsyłali do głównego zarządu oryginalne egzemplarze tych wydawnictw. Rozporządzenie to ma na celu, aby skargi publiczności i uwagi prasy dochodziły do głównego zarządu poczt i telegrafów. — W *Praw. wiadn.* zamieszczono rozporządzenie, dozwalające na dostarczanie do domu w razie objawionego przez adresata życzenia pakietów wartościowych i pieniężnych do 50-ku rs. za opłatą po kop. 10 od każdej przesyłki, między innemi w miastach Włocławku, Łowiczu, Pultusku, Skierniewicach, Zgierzu, Łodzi, Piotrkowie, Sosnowcu, Częstochowie, Kaliszu, Kole, Ozorkowie, Mławie, Płocku, Suwałkach, Łomży i Siedlcach.

— W sierpniu r. b. odbędzie się w Hamburgu zjazd taryfowy przedstawicieli kolei z udziałem reprezentantów zarządów kolei tutejszych. — Grono obywateli z okolic Grochowa, w liczbie około pięćdziesięciu, wystosowało memorjał do zarządu Towarzystwa belgijskiego z propozycją przedłużenia linii tramwajowej od stacji kolei terespolskiej do Grochowa pierwszego. Całkowite przedłużenie pomienionej linii wynosić ma 1.250 sążni. — *Petersb. wiad.* donoszą, iż ministerjum komunikacji opracowuje ustawę kasy zaliczkowo-wkładowej dla najemników na kolejach. — Zapadła decyzja co do dalszej budowy dróg szosowych w kraju południowo-zachodnim. — Wiec kolejarzy galicyjskich odbędzie się d. 12-go lipca.

Z prasy. Wyszedł z pod prasy pierwszy numer czasopisma p. t. *Kurier kolejowy*, wydawanego w czterech językach.

KRONIKA EKONOMICZNA.

— W ciągu tegorocznego jarmarku wełnianego sprzedano około 42.000 pud. wełny; dowóz wynosił 78.000 pud. Ceny za centnar (133 funtowy) wełny były następujące: wysoko cienka 90—118½ tal. (90 kop.), cienka—78—86 tal., średnio cienka 70—77 tal., średnia 55—65 tal. Ordynarnej wełny nie było wcale. Tryków sprzedano przeszło 100 sztuk od 50 do 90 rs. za sztukę. Deputacji jarmarcznej przedstawiony został od sekcji przemysłu rolnego projekt reformy jarmarku, dotyczącej trzech punktów: 1) skrócić jarmark do dwóch dni (16 i 17 czerwca); 2) ustanowić specjalnych meklerów przysięgłych; 3) znieść zebrania przedjarmarczne w sali giełdowej, ponieważ nikt na nich nie bywa.

— Z 20 dóbr, wystawionych na licytację przez dyrekcję płocką tow. kred. ziem. sprzedano 8, reszta zaś albo zaległości optacita, albo uzyskała ulgi w optacie rat.

— W warszawskim kantorze Banku Państwa wykryto fałszywe 25-kopiejki nowego wzoru. Monety fałszywe są fabrykatem z cyny i mosiądzu i od prawdziwych dają się odróżnić dźwiękiem, ciemnym kolorem oraz giętkością.

— Znana firma wydawnicza S. Orgelbrand i Synowie utworzyli towarzystwo akcyjne drukarni i odlewni czcionek z kapitałem zakładowym 350.000 rubli.

— W Grodzisku powstała nowa fabryka tektury, będąca własnością p. Antoniego Hordliczki.

— Rzemieślnik petersburski, Dyszko (polak), stara się o zatwierdzenie amerykańskiego tow. mechanicznego wyrobu obuwia. Kapitał zakładowy nowego tow. wynosić będzie 300.000 rs. w 1.200 udziałach po 250 rs. każdy.

S. K.

Treść numeru: Brytański związek handlowy, p. N. A. J. — Antoni Lange, p. Jerzego Grot. — Wspomnienia pośmiertne, p. Wł. Jabłonowskiego i A. A. K. — Kronika literacka i artystyczna, p. T. J. — Błędy językowe. — Na widowni, p. Jana Weznakiego. — Głosy. — Wystawa higieniczna IV, p. K. Bystrzyckiego. — Z obcego świata: Cosmopolis (dok.), p. Wł. M. Kozłowskiego; Przegląd polityczny, p. wl. — Z różnych stron. Z zagranicy: Krakowa i Lwowa. — Kronika powszechna. — Kronika ekonomiczna. — W odcinku: Dramaty Lubadzkie (c. d.), p. Adolfa Dygasińskiego. — Od redakcji (na okładce).

Redaktor i wydawca Tadeusz Strzembosz.

Дозволено цензурою, Варшава, 14 июня 1896 г. — W drukarni F. Csernak, Krakowskie-Przedmieście 6.